

„Całe swoje życie dzieci moje walczyły za naszą sprawę, za ojczyznę”.
(Marcjanna Fornalska „Pamiętnik Matki”)

A dzieci Marcjanna miała sześcioro: Franciszek, Leon, Felicja, Aleksander, Małgorzata i Stanisław.

Gdy jako 80-letnia z górą staruszka zaczęła spisywać wydarzenia swego życia dla ukochanej wnuczki — Oleńki — pozostała przy życiu jedynie jej córka Felicja. Starej matce przyszło przeżyć śmierć pięciorga swoich dzieci.

SPOTKANIE W CARYCYNIE

Była to biedna, chłopska rodzina z lubelskiej wsi. Rodzice — a matka szczególnie — troszczyli się o to, żeby nie tylko nakarmić, ale i nauczyć swoje dzieci. Jeśli dzieci zostaną analfabetami — to będą dorabiać u bogatych chłopów. Innych perspektyw nie było. — Rodzice — ubodzy, niepiśmienni chłopcy — decydują się na bohaterki w ich sytuacji czyn: sprzedają ziemię, która ich nie może już wykarmić, i wyjeżdżają do Lublina. Tam matka posyła dzieci do szkół: najzdolniejszego Aleksandra do gimnazjum, Franciszka do nauki w młynie, Leona do tkactwa. Felicja kończy kursy felczerskie, Małgosia i Staś uczą się w młodszych klasach. Dzieci omal od kołyski zapoznane są z biedą i dlatego wiedzą: trzeba zdobywać zawód i jak najprędzej iść do pracy. Fela kończy swoje kursy pielęgniarstwa i rodzina przenosi się do Krasnegostawu, gdzie można taniej się urządzić. Ale nim Fela znajdzie pracę — wybuchła I wojna światowa, 8-osobowa rodzina Fornalskich znalazła się wśród olbrzymiej fali ludzi, uciekających jak najdalej od linii ognia.

Przyjęto ich piękne, spokojne miasto Carycyn nad Wołgą. Tu nie doszła jeszcze wojna. Życie toczyło się starym torem: bogate mieszczaństwo, kupcy i fabrykanci byli zbyt pewni siebie, żeby się martwić i niepokoić pogłoskami o fermentie gdzieś z dala, na północy. Robotnicy pilnowali pracy. A „bieżący” za przyszłową łyżką stawy godzili się do najcięższej roboty.

Dopiero w parę tygodni potem...

W mieście zaczęło wrzeć: carycyńska organizacja partyjna organizować poczęła wiece, masówki, zebrania i demonstracje, w których uczestniczyli coraz większe masy mieszkanców miasta, zarówno tych stałych, jak i przybyszów spod frontu.

Pierwsze z wieści o wiecach przyszły do domu Fornalskich dzieci: Oleś — uczeń gimnazjum, Fela — pracująca w szpitalu polowym.

„Precz z wojną”, „Cała władza w ręce Rad”, „Ziemia dla chłopów, fabryki dla robotników” — to były hasła bolszewików.

— To są nasze hasła — tak to mniej więcej sformułowała chłopka z lubelskiej wsi, Marcjanna Fornalska, którą dzieci zaprowadziły na wiec.

Felicja, jej córka, tak to w pół wieku potem wyjaśni:

— My, którzy wiedzieliśmy, co to znaczy brak ziemi, praca dla cudzych korzyści, tęsknota za krajem, od razu odczuliśmy te hasła jak swoje. Odjadł chodziliśmy na wiece, żeby usłyszeć, jak trzeba działać dla tej partii, która walczyć chciała dla takich jak my: bez chleba i bez ojczyzny.

Najpierw do partii wstąpił brat, Aleksander, który rozpoczął studia w Krasnowie. My też chcieliśmy poprzez czynnie program bolszewików: pewnego dnia do komitetu partii zgłosiła się starsza kobieta i nielelnia dziewczynka. Była to Małgosia z Małgosią. Tak więc już w roku 1917 w SDKPiL byliśmy wszystkie trzy.

Był w Carycynie Klub Polski, skupiający całą pracującą w tym mieście inteligencję polską. Zbierali się, ot tak zwyczajnie, żeby pograć w karty, bilard albo chociaż pogadać.

Po wybuchu Rewolucji Październikowej klub zmienił oblicze: zaczęli tu zaglądać wszyscy „carycyń-



Rodzina Fornalskich: siedzi matka Marcjanna, stoją od lewej: Felicja, Stanisław, Małgorzata i Leon.

„SAGA RODU FORNALSKICH”

scy” Polacy. Bez końca trwały dyskusje: czy walczyć wspólnie z Rosjanami, czy trzymać się na uboczu. Czy to jest ich własna sprawa, czy to sprawy i nas, Polaków, dotyczą?

Tam poznaliśmy towarzyszy z SDKPiL: Kochańskiego — górnik z Zagłębia, Swadowskiego — studenta z Kijowa, Kabalę, Puhasa, Ducha.

Był to czas niespokojny: Denikin następował na Carycyn. Towarzysze zorganizowali jednostkę wojskową, która odegrała pewną rolę w obronie Carycyna.

W lecie 1918 roku zarządono mobilizację wszystkich członków partii. Ja zostałam skierowana do Carycyńskiego Komunistycznego Batalionu, gdzie pracowałam jako felczarka, Oleś i Małgosia byli skoszarowani za miastem w „Krestianskom Polku”. 16-letnia wówczas Małgosia, chociaż szczupła i wątła, była dzielna i odważna dziewczyną. Cieszyła się sympatią współtowarzyszy, którzy dobitnie podżartowywali, że: „to nie ona karabin, ale karabin ją nosi”.

Tak to niepiśmienna, zahukana chłopka Marcjanna Fornalska z polskiej wsi i trójka jej dzieci spokiwały w obcym mieście Carycynie Wielką Rewolucję i zostali jej żołnierzami — na zawsze.

„Z TARCZĄ ALBO NA TARCZY”

Carycyński Komunistyczny Batalion składał się z proletariatu miasta Carycyna. Czekał na rozkazy dowódcy, utrzymywał porządek w mieście, bronił składów, fabryk przed grabieżą, utrzymywał łączność telegraficzną i telefoniczną. W listopadzie młodzież została zwolniona i przesłana do miast nie zagrożonych, aby się uczyć. Rodzina Fornalskich znalazła się w Saratowie. Aleksander wstąpił na uniwersytet, ale na krótko. Zaraz bowiem wyjechał na front zachodni jako Komisarz Polityczny w 52 Dywizji Armii Czerwonej. Matka, Felicja i Małgorzata zostały opiekunkami Domu Dziecka dla polskich sierot.

Potem przyszły la'a pracy konspiracyjnej i skierowanie do kraju. Zadaniem rodzeństwa: Małgorzaty, Felicji, Aleksandra i Leona było utrzymywanie kontaktu przez front z towarzyszami radzieckimi. W sierpniu 1920 r. do Białegostoku wkracza Armia Czerwona, powstaje Tymczasowy Komitet Rewolucyjny Polski z Dzierżyńskim i Marchlewskim na czele. I znowu powołanie do

Armii Czerwonej: Felicja, jako felczka z zawodu skierowana zostaje do oddziału sanitarnego.

Grudzień 1920 roku zaznaczył się w pamięci Felicji Fornalskiej dwoma wydarzeniami: pierwsze, to skierowanie na kursy polityczne dla Polaków, które odbywały się w Moskwie. Drugie... Właśnie, to drugie utrwaliło się w pamięci milionów na całe życie: w tym czasie obradował w Moskwie VIII Zjazd Rad.

Pół wieku bez mała mija od tej chwili, a przecież wspomnienia są żywe, jakby to było wczoraj: Felicja Fornalska tak wspomina to wielkie wydarzenie w jej życiu: „Jakże wielką była nasza radość,

gdy dostaliśmy przepuski na ten Zjazd. Wiedzieliśmy, że na Zjeździe wystąpi Lenin. Był to okres nasilenia wojny domowej. Teatr Wielki, w którym odbywał się Zjazd, otoczony był zasiekami z drutu kolczastego i obstawiony żołnierzami. Sala szczerle wypełniona czekała nadejścia Lenina, rozgrzewając się tupaniem i zabijaniem rąk. Ukazanie się Lenina powitane zostało gorącą owacją — potem zaległa mowa cisza. Wszyscy zasłgali w oczekiwaniu na słowa Wodza Rewolucji. Wtedy to właśnie, na tym Zjeździe, padły znane słowa Lenina: „Komunizm to władza radziecka plus elektryfikacja całego kraju”.

Był głód, wojna, a tu nagle sły-

Friedrich Duerrenmatt

KONFRONTACJA Z RZECZYWISTOŚCIĄ

Friedrich Duerrenmatt przebywał ostatnio w ZSRR, jako gość na IV Zjeździe pisarzy radzieckich. W czasie swego pobytu pisarz odwiedził redakcję „Literaturnej Gazety”; w czasie spókania mówił o swych planach twórczych oraz o poglądach na literaturę.

— W ostatnim okresie — powie dzieł Duerrenmatt — zajmowałem się prawie wyłącznie teatrem. — Niedawno teatr w Zurychu wystawił moją sztukę „Anabapysta”. Przedstawienie cieszyło się dużym powodzeniem. Obecnie mam dwa projekty i nie zdecydowałem się jeszcze, który z nich wybiorę. Jeden nosi tymczasowy tytuł „Wdowy” — drugi — „Obalenie”. Oba poruszają tematykę współczesną. Bohaterowie „Obalenia” nie mają nazwisk. Czy nie to zupełnie świadomie: chcę ukazać mechanizm przewrotów państwowych, które często odbywają się w świecie. Jednym z ostatnich przykładów jest Grecja...

Mówiąc o roli pisarza w świecie współczesnym Duerrenmatt powiedział:

— Pisarz nie zmienia świata bez pośrednio, lecz oddziałuje nań pośrednio. Oczywiście są książki, które wywierają olbrzymi wpływ na rzeczywistość. A jako całość sztuka oddziałuje na ludzi pośrednio. Pisarz nie powinien sądzić, że jego twórczość zdolna jest zmienić z

gruntu świat — byłaby to bowiem mania wielkości. Świat zmienia się pod wpływem wielu czynników — technicznych, biologicznych, duchowych. Kiedy wynaleziono elektryczność, nikt nie mógł przewidzieć, jakie skutki miał będzie ten wynalazek. Pisać — to znaczy organizować konfrontację z rzeczywistością.

Sztuka, rzecz jasna, odzwierciedla tylko część rzeczywistości. Wszystko zależy od tego, jakie strony życia ukazuje artysta. Świat składa się z tak olbrzymiej liczby różnorodnych elementów, że zrozumieć i ogarnąć ich całość mógłby właściwie tylko mózg elektronowy. Jeżeli to jednak pozostawimy mózgowi elektronowemu, czy zrozumiemy, co nam powie?

— Pewien mój znajomy, młody naukowiec — specjalista z dziedziny aerodynamiki przeprowadzał skomplikowane obliczenia za pomocą maszyny elektronicznej. Pewnego razu, sądząc, że maszyna ukończyła już pracę, uczony wyciągnął taśmę dla opracowania wyników. Jakież było jego zdumienie, gdy się okazało, że maszyna w dalszym ciągu przeprowadza obliczenia.

Powiadają, że maszyny elektroniczne wkrótce zaczną pisać powieści. Sądzę, że powieści te okazały się zbyt doskonałe i dlatego nudne. Maszyna elektroniczna bez człowieka jest niewiele warta.

szymy słowa mówiące o przyszłości. To wywarło nadzwyczajne wrażenie, to nas zmobilizowało, podniosło na duchu. Widziałam wzruszenie na twarzach żołnierzy frontowych, których — zdawało się — po widzianych okropnościach wojny nic już nie jest w stanie wzruszyć”.

W PÓŁ WIEKU PÓŹNIEJ

Życiorysy ludzi zaangażowanych są niezmiernie bogate w wydarzenia. No cóż, tamte lata — to był dopiero „pojawy chrzest”. Rodzina Fornalskich dostaje skierowanie do pracy partyjnej na terenie kraju. Ciągła konspiracja, zmiana miejsca zamieszkania, „podróże” przez granicę. Bracia Aleksander, Leon i Stanisław pracują na odpowiedzialnych stanowiskach w Moskwie i na Białorusi, Felicja, po dwóch latach studiów na Uniwersytecie im. Marchlewskiego w Moskwie, skierowana zostaje do pracy w Kominternie. Małgorzata — działaczka KPP — jest w trudnych latach wojennych współorganizatorem i członkiem Komitetu Centralnego Polskiej Partii Robotniczej.

A Babcia Fornalska? Babcia chroni swego najdroższego skarbu — wnuczki Oleńki, przenosi ją całą i zdrową przez najgorsze zawieruchy II wojny światowej. Spośród dzieci — cało wychodzi z jej tragicznych losów jedynie Felicja. Odnajdują się tuż po wojnie, w Warszawie, gdzie Babcia pisze niezwykłą księgę swego życia — „Pamiętnik Matki”. Felicja podejmuje pracę w KC partii, a potem, po przejściu na emeryturę, w Komisji Rent przy Komitecie Warszawskim, komisji, która zalewiała same „sprawy ludzkie”. A Oleńka? Córka Małgorzaty uczy się. Ba, są to wieści zapożniane, Oleńka bowiem ma już córkę — Joasię, która chodzi do szkoły. Pani Aleksandra zaś obroniła właśnie pracę doktorską z zakresu socjologii.

Nagle i nieoczekiwanie w rieszę tej pracowitej codzienności wdarły się wspomnienia sprzed lat: Felicja Fornalska dostaje zaproszenie do wzięcia udziału w wycieczce weteranów Rewolucji do Związku Radzieckiego na spotkanie po pół wieku. Ale to już jest druga opowieść, którą snuć się będzie w gronie bliskich — godzinami.

Wspomnienie Felicji Fornalskiej spisał

KRYSTYNA SIEMIATYCKA

Stanisław Dziedzic

Na zachód od Odry

POTS DAM!

Encyklopedie i przewodniki zawsze mówią o nim w sposób niezwykle zwyczajny i treściwy. I całkiem słusznie. Wszak dla współczesnego świata niedarmo stał się on symbolem początku przebudowy oblicza dzisiejszych Niemiec.

Niezawodna ilustrowana Encyklopedia Trzaski sprzed 40 laty informuje: stolica prow. brandenburskiej na wyspie utworzonej przez rzekę Hawelę i jezioro Hawelskie, 58 500 mieszcz.; do 1918 r. rezydencja królów pruskich; stary zamek i szereg nowych, obserwatoriów meteorologicznych, instytut geodezyjny i astronomiczno-fizyczny, mauzoleum królów pruskich; znaczny przemysł.

Współcześnie Encyklopedia Popularna PWN pisze: miasto w NRD pod Berlinem; 117 500 mieszkańców, fabryka parowozów, wytwórnia filmowa „Defa”.

Od siebie mogę dodać: jest siedziba kilku akademii i instytutów naukowych, m. in. Akademii Nauk Prawnych, Wyższej Szkoły Pedagogicznej i Filmowej.

Pozostawiając jednak na uboczu encyklopedyczną prezentację Poczdamu, bez przesady można rzec, że jest to chyba najciekawszy zakątek środkowej części NRD, leżący wśród zalesionych łańcuchów wzgórz i lśniących jezior. Każdy wiek wywarł tu swoje znamie. Podwaliny wywiłły ze słowiańskiej osady rybackiej. Do rangi stolicy prowincji brandenburskiej zaangażował za Hohenzollernów, zaś rządy Fryderyka Wilhelma I i Fryderyka II, uczynili go miastem garnizonowym i letnią rezydencją królewską. Tradycje militarystyczne nie ominęły go i w ponurych latach faszystowskich rządów. To tu właśnie, w Poczdamie, na zamku królewskim umierający Hindenburg przekazał władzę nowo kreowanemu kanclerzowi III Rzeszy, A. Hitlerowi.

Z któregośkolwiek jednak strony by się dotarło do Poczdamu, każde jego przedmieście, a nierazko i centrum miasta, wita przybyszów soczystą zielenią drzew i bajkową gamą kolorów willi. Dbałość o zieleń pomnaża jeszcze bardziej niezwykle umiłowanie przez jego mieszkańców kwiatów. Jest ich wszędzie pełno: w ogródkach, oknach domów mieszkalnych i na ścianach budynków. Przechadzka po ulicach barokowego śródmieścia Poczdamu, głównie wzdłuż Wilhelm-Staab Strasse, w części tylko separuje przechodnia od nadmiaru zieleni.

W południowej części miasta, wśród lasów, znajduje się nowy dworzec kolejowy z wielką halą dworcową i nowoczesną restauracją. Szczegółowo poznać go można bez znaczenia, ale gdy się popatrzy na jego otoczenie, ma się wrażenie, że to prawdziwy klejnot sztuki architektonicznej i ogrodniczej. Obwód dworca tarasowało ukwiecony sprawa

wia imponujące wrażenie. Kwiaty, kwiaty... Morze kwiatów różno-barwnych. W tej sytuacji trudno siłą się na jakikolwiek opis. Można tylko go skwitować nieśmiertelnym zwrotem — szkoda, że państwo tego widzą...

Jakże odmiennie przy tym cudzie wyglądają małe mieszczkańskie domy z wysokimi dachami, w których niegdyś mieszkali żoldacy królów pruskich, zwani „driblasami”, lub „dziełca holenderska” przyozdobiona spadzistymi dachami i białymi framugami okien. Jak głosi kronika Poczdamu, dzielnica ta powstała w latach 1737 — 1742 była przeznaczona dla osiedleńców niemieckich. Nie zjawili się oni tu bynajmniej z sentymentu dla u trwałenia poległego państwa pruskiego, podobnie, jak 60 lat wcześniej uchodzący za Francji Hugonoci. Ale właśnie dzięki ich pracowitości i niemałym podatkom płaconym władzom pruskim, stworzone zostały przez nich podwaliny dworskiego luksusu, które uzewnętrzniają zachowane do dziś wspaniałe parki i pałace.

Olbrzymi park Sanssouci i znajdujące się w nim pałace stoją nienaruszone tak, jak gdyby nigdy nie były w bezpośredniej bliskości krwawych zmagania o Berlin, podczas ostatniej wojny. Wejścia do kompleksu parkowego strzeże reprezentacyjna brama ze strzelistym obeliskiem. Szeroka Główna Aleja w linii prostej przecina park na dwie części. Najstarsza, projektowana przez Knobelsdorffa, cechuje styl francuskiego baroku, druga ma charakter angielskich ogrodów, naśladujących przyrodę. Aleja jest utkana różnymi rondami, żywopłotem, kwiatami, fontannami i naturalnej wielkości posągami z marmuru. Kilkadziesiąt metrów od wejścia do parku turysta spotyka pierwszą, większą budowlę — Galerię Obrazów. Jest to obiekt jednopiętrowy, z frontonem przyozdobionym alegorycznymi postaciami uosabiającymi różne rodzaje sztuki. Wnętrze Galerii zawiera zbiory mistrzów pedzla baroku — malarzy flamandzkich i włoskich, a rondo Wielkiej Fontanny — rzeźby francuskich rzeźbiarzy, przedstawiające postaci mitologiczne.

W bezpośrednim sąsiedztwie Wielkiej Fontanny, znajduje się druga z kolei przeurocza budowla — pałac Sanssouci. Wiedzie do niego sześć wznoszących się tarasów, z których każdy kryje w swoim wnętrzu oranżerie, z rozpiętym na zewnątrz krzewem winorośli. Szczyt koronuje parterowy zamek z oryginalną rokokową elewacją, uwiecznioną pośrodku kształtną owalną kopułą. Pałac utrzymany w duchu francuskim jest dziełem pruskiego architekta, Georga von Knobelsdorffa, który został wybudowany przez niego w latach 1745 — 1747, jako letnia rezydencja króla Fry-

derika II. O ile fasadę pałacu charakteryzuje pewna powściągliwość, o tyle bogatszą wykazują swobodę wnętrza. Całość składa się z 12 pokoi, będących szczytem niemieckiego rokoka, nacechowanego wystawnością i ceremonialnością. Barwne i urządzone z niemałym przepychem sale pałacowe, na każdym kroku przypominają osobę liberalizującego króla, który wobec Polski potrafił prowadzić lisią politykę, a z drugiej strony zajmować się filozofią, gościć Woltera i grać na... klarncie. Niedarmo często mawiał: Jeżeli się wam podoba cudza posiadłość, zabierzcie ją sobie, a zawsze znajdziecie prawników, którzy dowiodą, że było słuszne.

Każdy pokój zawiera w sobie sporo osobliwości z zakresu sztuki kateorii, malarstwa, zdobnictwa i zegarmistrzostwa. Z wytwornym poletem są wykonane malowidła przez francuskiego malarza Pesne na ścianach pokoju muzycznego. Małą, okrągłą bibliotekę upiększają złocisto-brązowe okładziny z cedrowego drzewa i alegoryczna podobizna słońca pośrodku sufitu, która z oblicza przypomina buzię roześmianego dziecka. Wreszcie sala jadalna z kopułą, pełna zdobień, dalej pokój Woltera, uwypuklający naturalistyczne cechy osobowości wielkiego filozofa, jego przebiegłość i spryt.

Chciałbym Czytelnika uprzedzić, że na Galerii i pałacu Sanssouci nie kończą się bynajmniej atrakcje Poczdamu. W tym samym parku znajdują się jeszcze: pałacyk Charlottenhof, Nowe Komnaty (Neue Kammer), które dziś mieszczą muzeum zw. Poczdamskim rokoko, dalej w ogrodach — Sycylijskim i Nordyckim: Oranżerie, Muzeum Armii Ludowej NRD, Główne Archiwum Ziemi Brandenburskiej, a w Ogrodzie Botanicznym: Nowy Pałac.

Kilka jednak słów należy się „chińskiej herbaciarni”, budowanej zawsze wielkie zainteresowanie zwiedzających. Budowla ta wzniesiona w 1754 r. przez Bühringa w swym dolnym zarysie ma kształt listka konicyny, dach natomiast w formie namiotu, podtrzymywany kolumnami w formie palm. Wejścia do „herbaciarni” pilnują polne figury. Wnętrze składające się z 3 części, mieści — gabinet pracy, galerię obrazów i sypialnię.

Wszelkie jednak rekordy zainteresowania bije pałac Cecilienhof. Położony w drugim wielkim parku Poczdamu „Neuer Garten am Heiligen See”, szczególną sławę zyskał z chwilą zakończenia działań II wojny światowej. Dzięki odbyciu w nim konferencji zakończonej Układem, stał się atrakcją turystyczną.

W tym samym czasie, gdy w 1916 r. toczą się zażarte walki pod Verdun, Wilhelm II podemuje decyzję budowy pałacu kosztem 8 mln marek dla następczyni tronu Cecylii. Jako rekompensatę za utratę tronu Cecylia wraz z pałacem otrzymuje włości liczące 95 000 ha, zarządzanych przez 12 folwarków. Pałac utrzymany w stylu angielskim (projektant prof. Schultz-Neumburg) mieści 176 pokoi.

Historyczne pomieszczenia w pałacu pozostały niezmiennione od mo-

mentu, kiedy to dla celów konferencji urządził je marszałek Sokolowski, wykorzystując meble ściągnięte z innych pałaców poczdamskich.

Jak wiadomo, w konferencji tej, która obradowała w dniach od 17 lipca do 2 sierpnia 1945 r., spotkali się: prezydent USA — Harry Truman, premier ZSRR — Józef W. Stalin i premier W. Brytanii — Winston S. Churchill, celem zawarcia porozumienia, co do dalszych losów pokonanych Niemiec i dalszej współpracy między sprzymierzonymi. W okresie od 17 do 25 lipca odbyto 9 posiedzeń, po czym obrady zostały zawieszono ze względu na odbywające się w tym czasie wybory w Anglii. Po upadku konserwatystów, do Poczdamu przybył nowy lauborzystowski premier brytyjski, Klemens R. Attlee. W nowym składzie konferencja odbyła jeszcze 4 posiedzenia. Obrady zakończono podpisaniem 4 podstawowych punktów układu dotyczących — całkowitego rozbrojenia i demilitaryzacji Niemiec, denazyfikacji i odbudowy ustroju demokratycznego. Niemym świadkiem tego historycznego wydarzenia jest dziś pamiątkowa fotografia przywódców 3 wielkich mocarstw, znajdująca się w pobliżu drzwi wejściowych do sali obrad. Z pietyzmem więc zostały zachowane pomieszczenia, w których urzędowały delegacje uczestników konferencji.

Najskromniej chyba urządzone pokoje mieściły delegację ZSRR. Sala przyjęć utrzymana w jasnych kolorach dość ostro kontrastuje z ciemnokarminowym wnętrzem pokoju pracy J. Stalina. Najbardziej jednak stylowym pomieszczeniem dysponowała delegacja W. Brytanii, bo... angielskim. Natomiast gabinet pracy delegacji USA cechuje zacisza, powściągliwość, styl klubowy i mnogość planów rozmaitych projektów (5) rozwiązania kwestii niemieckiej. Różniły się one od siebie bardzo znacznie. Zawierały m. in. propozycje całkowitego rozbrojenia Niemiec między Holandię, Francję i Belgię lub stworzenie federacji republik bądź zgola fantazyjne koncepcje włączenia Austrii i Węgier do Niemiec południowych. Stało się jednak inaczej, z poszanowaniem historycznych praw dla przastarych granic Polski i Czechosłowacji.

Stare, mądre, ludowe przysłowie powiada, że każda rzecz ma swój koniec. W tym wypadku porzekadło to chyba można także przykroć do osobliwości Poczdamu. Przed żadnym jednak wrażeń turystą otwiera ono nowy rozdział atrakcji — przejażdżkę statkiem po wodach jeziora hawelskiego. A krajobraz Marchii Brandenburskiej niewiele różni się od Warmii i Mazur. A to jakby już u siebie, w Polsce.

Największy wydawca na świecie

LIST Z MOSKWI

Według danych UNESCO, co czwarta książka ukazująca się na świecie wydawana jest w ZSRR.

Tygodnik „Literaturnaja Gazieta” podaje, że co minuta w Związku Radzieckim z maszyn drukarskich schodzi 2400 egzemplarzy książek, tj. 3,5 mln egzemplarzy dziennie, ponad miliard rocznie.

W latach władzy radzieckiej wydrukowano w ZSRR 4,5 raza więcej książek i broszur niż w ciągu 350 lat przed Rewolucją Październikową. Jest to owoc pracy 222 specjalistycznych wydawnictw istniejących w ZSRR.

W ciągu 50-lecia wydrukowano 213 tys. tytułów literatury pięknej w nakładzie ponad 7 mld egzemplarzy. Tylko w 1966 r. ukazało się na półkach księgarskich ponad 7 tys. tytułów w nakładzie blisko 420 mln egzemplarzy.

A oto autorzy, których utwory osiągnęły największe nakłady:

A. Puszkina	drukowany 2177 razy w nakładzie 114,1 mln egz.
L. Tolstoj	drukowany 2095 razy w nakładzie 122,4 mln egz.
M. Majakowski	drukowany 823 razy w nakładzie 53,3 mln egz.
W. Szolochow	drukowany 713 razy w nakładzie 44,7 mln egz.
T. Stenczenko	drukowany 516 razy w nakładzie 14,9 mln egz.
J. Kupala	drukowany 144 razy w nakładzie 4,2 mln egz.
G. Nizami	drukowany 106 razy w nakładzie 1,2 mln egz.
Sz. Rustaweli	drukowany 101 razy w nakładzie 1,8 mln egz.
A. Nawoi	drukowany 101 razy w nakładzie 1,1 mln egz.

Związek Radziecki zajmuje pierwsze miejsce na świecie co do liczby wydawanych tłumaczeń z języków obcych. Ukazuje się tu 9 razy więcej przekładów niż w W. Brytanii, 4,5 raza więcej niż w Japonii i 4 razy więcej niż w USA. Tylko w okresie ostatnich 5 lat utwory autorów zagranicznych ukazały się w ZSRR w nakładzie 353 mln egz.

W tym roku ukazał się ma dodatkowy nakład 55-tomowego zbioru pism W. Lenina. Wydawnictwo „Progress” kończy druk zbioru pism Lenina w 40 tomach w językach angielskim, francuskim i fińskim. Dzieła Marksa i Engelsa drukowano w ZSRR 2351 razy w 76 językach w nakładzie prawie 84 mln egz. W obecnym roku jubileuszowym ukazał się ok. 1000 książek i broszur poświęconych Rewolucji Październikowej.

Sprzedają książki na terenie Związku Radzieckiego zajmuje się 13 tys. księgarń i 32 tys. kiosków, w tym ponad 1000 księgarń wyspecjalizowanych. (Dariusz Pilewski, Kt-PAP)



Autobus pisał się teraz ciężko pod górę. Silnik pracował rytmicznie, czysto, pewnie i niezawodnie. Wóz był przecież nowy, niedawno zlał z taśmy, jak się to mówi. Darasz był z niego bardzo zadowolony, chociaż nie lubił tych osobowych wozów — wolał ciężarowe, na których jeździł przedtem, zanim usiadł za kierownicą jela. Właściwie to sam wóz nie sprawiał mu żadnej różnicy,

tylko ten przewóz pasażerów, to ciągłe użeranie się z nimi, ta spotęgowana odpowiedzialność za ich bezpieczeństwo, za ich życie. Nie zdążył jeszcze przyzwyczaić się do zmienionych warunków pracy, toteż wyczerpywało go to stałe napięcie nerwów. Po parugodzinnej przejażdżce z pasażerami czuł się zmęczony gorzej niż po kilkunastogodzinnej turze ciężarówką.

Dzisiaj czuł się szczególnie źle. Wszelkiemu winny te imienniny. Darasz nie pił często, ale przy takich okazjach lubił sobie pociągnąć. A wczoraj chyba nieco przeholował. Wcale nie miał zamiaru urządzić hucznych imiennin, toteż zaprosił tylko paru najbliższych kolegów. Ni jak było przecież święcić ten dzień we dwoje z żoną, imienniny to nie święto rodzinne. Kto mógł się spodziewać, że niewinne przyjęcie z litrem wódki, jakie przygotowała żona, przerodzi się w huczną libację zakrapianą obficie alkoholem, który przynieśli z sobą kumple. Ta mieszanka różnorodnych wódek z piwem zrobiła swoje. Wszyscy byli zalani w sztok. Bawili się prawie do rana i Darasz spał zaledwie trzy godziny. Ciekawe, jak się czują inni po tej hulance, bo on czuje się naprawdę pod psem. Chyba się zatruł czy co? Nigdy dotychczas nie odczuwał takiego wyczerpania, takiego tomatnia w sercu i w skroniach. Głowa go bolała nie do wytrzymania, a przed oczami coś mu się zwiidywało, coś dwoiło, widział przed sobą wszystko jakby we mgle, jakby przez gęstą siatkę zasłaniającą mu wzrok. Po co w ogóle stał za kierownicą? Mógł przecież powiedzieć, że jest chory, albo wygaść się jakimkolwiek pretekstem od dzisiejszej jazdy. Ale on myślał, że mu to przejdzie, takie depresyjne stany po przepiciu nie trwają zazwyczaj długo, o! najwyżej godzinę, potem człowiek czuje się normalnie. Poza tym nie chciał nawalać, miał opinię ambitnego, obowiązkowego pracownika. Otrzymał przecież kilka nagród, pochwał, wyróżnień, stawiano

go nieraz za wzór innym. I naraz miałoby się okazać, że ten wzorowy, ceniony kierownik jest niezdolny do pracy z powodu nadużycia alkoholu?

Darasz przetarł dłonią oczy, naraz przeciuł jechał traktor z wyladowaną wysoko przyczepą. Przyznamował i zjechał ostrożnie na pobocze. Unikaj brawurowych zbieżeń z mijanymi pojazdami, nie ufał własnym rekom, które drętwiały mu jakoś dziwnie na kole kierownicy. Cała jego umiejętność prowadzenia pojazdu ześlakowała się teraz w tych rękach, one przejęły na siebie funkcję kierowniczą od skołatane mózgu. Prowadziły wypełniony ludźmi wóz ostrożnie, nie wyrzucając przekładni na niebezpieczne biegi. Wtórowały im stopy Darasza, naciskające z czuciem pedał gazu. Kierowca rzucał od czasu do czasu niespokojne spojrzenia w zwierciadło, w którym odbijało się całe wnętrze wozu. Wpatrywał się z uwagą w oblicza pasażerów, jakby się chciał upewnić, że nie wyrzy w nich oznak niepokoju lub przeczuć groźącego im niebezpieczeństwa. Ale wszystko było w porządku, pasażerowie zachowywali się normalnie, jak zawsze. Jedni rozmawiali z sobą półgłosem, inni czytali gazety, jeszcze inni patrzyli bezmyślnie w okna. Spokojni, ufni ludzie, którzy na czas jazdy powierzyli swój los jemu, Daraszowi. Dwie młode dziewczyny, nagabywane przez siedzących za nimi młodzieńców, uśmiechały się do siebie uszczęśliwione i mrużyły porozumiewawczo oczami. Młodzieńcy nie widzieli tych znaczących uśmiechów, Darasz je widział. Po-

myślał ordynarnie: „Zanim zajadą na miejsce, będą gotowe”. Jeżeli zajadą — podszeptał mu nagle jakiś złośliwy głos. Starsza kobieta, odświętnie ubrana, grzebała ręką w pakownym koszyku. Pewnie sprawdziła, czy czegoś nie zapomniano, jakiegoś prezentu dla córki, może dla wnuków. Ileż to radości sprawi komuś najbliższemu swoim przyjazdem. Jeżeli dojedzie... Natrętny głos nie przestawał się naigrawać z ludzkich losów.

Darasz oderwał wzrok od lusterka. Nie, nie! Nic się nie może stać, wszystko pójdzie normalnie. Może! Wypadki chodzą po ludziach — mówi przysłowie. A doświadczenie uczy, że stokród częściej zdarzają się ludziom w stanie nietrzeźwym. Więc co robić? Dojechać do przystanku i zadzwonić do bazy, żeby przysłali innego kierowcę? Co im powie, czym wytłumaczy swoją niemoc? Powiedzieć, że nagle zachorował? Można by, ale później trzeba pójść do lekarza, a ten się zaraz pozna na jego chorobie. Dochodzenie, protokoły, wyjaśnienia. W następstwie różne konsekwencje służbowe, przykrości, wstyd. Ech, czego on się właściwie martwił na zapas, przecież nic się nie stało, jak dotychczas jazda przebiega szczęśliwie. Jak dotychczas...

Nagle, jak gdyby życie chciało mu udowodnić, że szczęście bywa złudne, wyleciała zza zakrętu ciężarówka. Jej kierowca widocznie niewiele sobie robił z przepisów ruchu drogowego, skoro nie uważał za wskazane zwolnić biegu na zakręcie i jechał sobie z fantazją szaleńca. Darasz zdrzął. Szarpnięta nie-

Cecylia Błońska

A MOŻE BYŚMY TAK Z RZESZOWA DO ŁODZI?

O BIECUJE, zapewniam, nie waham się gwarantować: gdy solidnie wymyśleni przydługą podróżą staniecie na łódzkim bruku, znużenie rychło się ulotni. Miasto, jako że przybędzie we wczesnych godzinach porannych, z miejsca zadziwi was niesłychaną, jak na nasze wyobrażenie, czystością swych ulic. Cieniste wawozy drzew z soczystą zielenią i wygodnymi ławkami, śmiało wkomponowane między pryncypalne arterie, zapewnią przelotny odpoczynek zanim pochłonie was śródmięście z istic wielkomiejskim ruchem, w którym mimo lipcowej kanikuli i żaru płynącego z bezchmurnego nieba, nie ma nic z nudy i letniego bezwładu.

Zadnych więc „zdjęć w zwolnionym tempie” ani pustek na trotuarach ani camkniętych sklepów, ni zenujących wywieszek, że nieczynny z powodu urlopu sprzedawcy, choroby sprzedawcy, a w każdym bądź razie na skutek nieobecności sprzedawcy.

Wesoły, barwny, kolorowy tłum nieprzebraną falą przelewa się przez ulice, której nieco cienia użyczą pasyaste markizy sklepowe. A tu najnowszych typów, stare wysłużone warszawy, tramwaje, których nie wymieniano tu zapewne od wielu dziesiątków lat, w sumie tworzą obraz harmonijny. Z takiego anachronicznego troche wozu tramwajowego, zgrabnie i lekko wyskakują śpieszące do pracy dziewczęta — marzenia. Jeśli łodzianie ubierają się na sposób nieco tradycyjny, to łodzianki wiodą prym w elegancji chyba i w skali krajowej. Nie darmo działy tu rozmaite instytucje wzornictwa i, w tym ośrodku naszego przemysłu tekstylnego, łódzkie witraży pierwsze eksponują włókiennicze nowości.

Tylko nie dajcie się uludzić i nie ustawcie się, aby w kolejkę, która pogodnie i wesoło, gawędzi przed zamkniętym jeszcze sklepem fabryki jedwabiu, przed obszerną wystawą polskiego lnu. Rozumiem, że mini sukienko-koszulka udrapowana na szpulnikim manekinie z dyskretnie lśniącego jedwabiu w bajeczny afrykański wzór, czy też kostiumik typu safari — nie brak mu nawet złotego łańcuszka poniżej talii — z inu w korłozie soczystego koralu, łącznie może turystki znużone całonocną drogą sprowadzić na bezdrożę... oczekiwania w ogonku.

Nie trzeba! Na taką stratę czasu niechaj raczej pozwalają sobie rdzenne mieszkanki tego wielkiego miasta. Skoro sklepy otworzą swe podwoje, bez żadnych ograniczeń nabejdziecie to wszystko, co potem w Rzeszowie o nerwowe wypieki przyprowadzi wasze najserdeczniejsze przyjaciółki. Pod warunkiem oczywiście, iż nie opowiecie im, że

wasza paradna garsonka w Łodzi nie okazała się bynajmniej rewelacją lata 1967, gdyż łodzianki noszą się inaczej, skromniej, na pewno taniej, ale jakoś bardziej elegancko.

Młode dziewczęta i te kobiety, które przed jedenastu laty nie stanęły jeszcze twardo na nieprzekraczalnym 29 roku życia, ochraniają od słońca głowę i fryzurę białymi płóciennymi oprychówkami. Rzeszowski „Elegant” oferuje je, jak zdołałam zauważyć, w cenie kilkunastu złotych za sztukę; u nas nie zostały jeszcze podniesione do rangi modelu.

W ogóle kolor biały króluje na łódzkiej ulicy. Białe, proste w kroju sukienki, białe płaszczyki. I niepokalanej bieli kitle fryzjerów, dostawców lodów, płaszcze ekspedientek, barmanów w kafejkach i barach kawowych, takich jak przycupnięty przy Grand Hotelu włoski barek „Expresso” czy przedsiębiorczy „Bankowy”, gdzie apetyczne sznycelki-hamburgiery z bułką śnią gają całe wycieczki. Przy wielkiej dynamice i dobrej organizacji takich małych schłodzonych lokalików, sieci cukierni, ciastkarni, Łódź cierpi na wyraźny niedostatek bazy masowej gastronomii, zaskakując wręcz podróżnego restauracją tak prymitywną i marną przy samej Piotrkowskiej, jak np. ów „Słoń”. Ale nie po to podróżujemy, by po znawać blaski czy też cienie żywienia zbiorowego. Na takie detale szkoda po prostu czasu.

NIE sposób przechodzić obojętnie ulicami obok wielkich tablic głoszących historię czereponej Łodzi, jej chwalebna przeszłość, bohaterki udział w walce z okupantem. Jest to miasto odznaczone w 50 rocznicę rewolucyjnych wydarzeń Orderem Budowniczych Polski Ludowej. Liczne tablice na głównych gmachach przekazują potomności pamięć o oddziałach powstańców, o bojownikach, o dzielnikach, poległych w nierównym boju z faszystowskim najeźdźcą.

Raz po raz wędrowiec trafia na ulice nazwane imieniem pisarzy, artystów, czołowych twórców polskiej kultury. Wzdłuż małych ulic wielkie, rzucające się w oczy fotosty, anonsujące przedstawienia teatralne: „Paryżanka”, „Dobrze skrojony frak”, „Czarownice z Salem”, a wokół nich zawsze sporo przechodniów.

Teatr to wielka miłość Łodzi, to fascynacja mająca tutaj, w tym grodzie z Schillerem związanym, swoje głębokie tradycje. I nie jest to bynajmniej sentyment, jaki żywi i pielęgnuje wąska grupa wywołanych znawców i przyjaciół sceny. Gdy na ulicy, w kawiarni, w czarującym ogródku „Tiwoli” z orkiestrą pojawiają się aktorzy, witają ich mile uśmiechy, pochlebne komenta-

rze. Na każdym kroku czują to, jak są lubiani, potrzebni. I ci, którzy zeszli już z desek scenicznych na zasłużony odpoczynek, są częstokroć przedmiotem takich spontanicznych powitań na ulicy, w autobusie...

Powstanie nowego teatru jest wydarzeniem ciągle jeszcze pierwszoplanowym na firmamencie łódzkiego życia kulturalnego. Jego dotychczasowe premiery stały się świętem miasta. Łączy się z nimi szereg imprez natury towarzyskiej. Po premierowym przedstawieniu w wielu domach odbywają się przyjęcia, mniej lub więcej wystawne, zależnie od zasobności gospodarzy. Wszędzie nie tylko znani goście, ale szeregowi członkowie orkiestry, debiutujące baletnice goszczą się z honorami nieomal książęcymi.

Na premierze „Pana Twardowskiego” Różckiego reprezentowana była bez przesady cała Łódź: działacze partyjni, świat literacki, przedstawiciele wielkich fabryk, prasa miejscowa i centralna. I setki zagorzałych, oddanych miłośników Melpomeny. Stroje na wielką galę: mini kostiumki z lamy, powłóczyste koronki, młodzież w uroczyście czerni, w rozmaitych wariantach efektownej bieli. Kwiaty, owacje i owa niepowtarzalna ciepła atmosfera, w wielkim świetle towarzysząca wielkim udanym premierom.

Później, znalazłszy się wśród gości takiego właśnie teatralnego przyjęcia, czekaliśmy cierpliwie aż zjawi się muzyk — pierwszy flet Wielkiego Teatru ze swą młodszą żoną, jedną z członkiń baletu. Przyszli świeżo jeszcze pod wrażeniem niedawnego występu. On podał panu domu swój instrument w futerał, który gospodarz pechowicie zanosił do swego pokoju. Ona cała w rumieńcach, szybko doprowadziła do porządku długie, luźno na ramiona opadające włosy, które na scenie, gdy wykonywała swoje skomplikowane pas, krył stylowy strok. Gratulacjom, uściskom, wyrazom zachwytu wydawało się, że nie będzie końca. Muzyk i hołubiona przez uczestników tej przemijającej uczy małenka — petite — jak ją tu nazywano, przez cały czas byli pierwszymi gośćmi...

GDY pogłębiałam swą znajomość z miastem, które ongi Reymont nazywał „Ziemią obiecana”, łódzka telewizja anonsująca swój program kilkoma taktami z moniuszkowskich Prąszniczek, nadawała „Wiwat XX wiek” rzeszowskiej Estrady. Nie było mi już dane oglądać całego występu rzeszowskich znajomych na szklanym ekranie TV w Łodzi, gdyż zbliżał się czas odjazdu.

Dworcowy zegar oświetlony jak dekoracja w operetce wybijał właśnie północ. W tę pogodną lipcową



Miasto „Fotooptyki” i wielu fotoamatorów. Fot. JOZEF LIGEZA

noc z dworca kolejowego Łódź Kaliska, wraz z nami wielu turystów wyruszało, po raz pierwszy chyba, na rekonesans w Bieszczady. Mielimy przed sobą 10-godzinną drogę.

Nie tylko z okazji Międzynarodowego Roku Turystyki, ale ze względów na wieloletnie więzy łączące nas z województwem łódzkim, warto by pomyśleć o usprawnieniu tego połączenia. Podróżujemy, kształcimy się, odwiedzając miasta i okolice niedostatecznie nam jeszcze znane, ale niekonięcznie z Łodzi podążajmy na Rzeszowszczyznę tak okrutnie zawiłą marszrutą poprzez Rudnik nad Sanem, Leżajsk, Łętownie. Coś, u licha, pozostawmy na drugi raz. Naszym gościom w tamtej części kraju nie musimy prezentować wszystkiego od razu.

Półki lato, zatroszczymy się również o przywrócenie pospiesznej komunikacji autobusowej na trasie Przemysł — Rzeszów — Łódź. Pod naporem opinii publicznej wycofano niebezpieczny wrak — autobus z tej linii, równocześnie likwidując ją zupełnie. Moi drodzy, tego się nie robi nie tylko w Roku Turystyki, ale i w zwyciężonym roku 1967!

Przyjazd specjalnego wycieczkowego pociągu teatralnego z Warsza-

wy jest ewenementem dla Łodzi, a przede wszystkim, zawieramy Waldorffowi, stanowi wydarzenie dla świata kulturalnego stolicy.

I nam dobrze zrobią takie sporadyczne wypadki do Łodzi. Nie tylko działaczom kultury i sztuki. Również organizatorom gospodarki komunalnej. A także aktywistom z WKZZ, jako że łódzkie łożbki, przychodnie, placówki socjalne w tkalnianach, znakomicie owocujące rezultaty realizacji uchwał VII Plenum w fabrykach na Balutach, stanowią wzorcowe nie lada w skali całego kraju.

Nasi handlowcy niech by którąś ze swych letnich wycieczek przeznaczili na wyjazd do Łodzi. Z wyznaczonych witrażi sklepów (nie te, które eksponują wspaniałe tkaniny dekoracyjne artysty Adama Nahlkka czy prace Teresy Jakubowskiej), ale handlowe, zmieniane regularnie każdego piątku wieczorem, opatrzone są czytelną wizytówką plastyka, który każdorazowo wystawę aranżował.

W ogóle na aranżację (tak modne dziś określenie) wielu spraw w Łodzi, z dziedziny k. o. i innych, rzeszowianinowi warto od czasu do czasu rzucić uważnym okiem przybywszy z niedaleka...

opierowalnym ruchem kierownica skierowała pojazd wprost na skarpę. Tylko instynktowi zawdzięczał powolne szarpnięcie, które doprowadziło wóz do równowagi. Przejechali o przysłówiowy włos od śmierci. Wewnątrz rozległo się kilku stłumionych okrzyków przerażenia, po czym zaległa grobowa cisza. Darasz trząś się cały z przjęcia, ale nie zatrzymał pojazdu. Nie chciał potęgować paniki, udawał, że nic się nie stało. Czuł na plecach trwożne spojrzenie ludzi, odczuwał wyraźnie ich strach i oszołomienie. Teraz wiele zależy od jego opanowania. Wiedział, że przestraszeni pasażerowie oczekują od niego jakiegoś gestu, który by ich uspokoił, toteż odwrócił na moment twarz i spróbował się uśmiechnąć. Konduktor przeciśnął się do przodu i nachylił nad jego uchem.

— Kazik, co się z tobą dzieje? — spytał półgłosem. — Jak ty dzisizaj jedziesz?

Oburzony go zarzut w tych słowach. — Czego się czepiasz, do cholery! — rzucił ze złością. — Nie widziałś ciężarówkę? To wina tamtego. Zresztą przestań, nie strasz ludzi.

Konduktor rzucił okiem na pasażerów. Uspokajali się powoli, zaczęli komentować między sobą wydarzenie. Do uszu Darasza dolatywały tylko strzępy słów, nie dało się nic z tego zrozumieć. Konduktor powiedział:

— Tamten jechał jak wariat, to prawda. Ale ty, Kazik, też coś nawalasz.

— Bo co?

— Nie gniewaj się, ale twoja dzisiejsza jazda nie jest w porządku.

Mamy już kwadrans opóźnienia, a przejechaliśmy dopiero dwadzieścia kilometrów. Przed nami jeszcze sto. Kiedy zajdziemy w takim tempie?

— Odał się! — odszczeknął zniecierpliwiony Darasz.

A więc tak źle i tak niedobrze. Jadąc ostrożnie, opóźnia kurs, jadąc szybciej, naraża autobus na kata-

strofę. Ta ciężarówka, którą wymiśnił, była dla niego ostrzeżeniem. Nie chciał nawet myśleć, co by się stało, gdyby on także jechał z fantazją tamtego. Zaraz przystanek, tutaj trzeba koniecznie rozstrzygnąć, co robić dalej: jechać albo nie jechać.

Przystanek w tej miejscowości



Rys. J. SIENKIEWICZ

znajdował się akurat naprzeciw budynku, w którym mieściła się poczta. Tuż obok stał zielony kiosk z artykułami spożywczymi. Kilka osób kręciło się tu w oczekiwaniu na autobus. Darasz zatrzymał wóz. Szczyło go, w gardle mu zaschło. Wysiadł i podszedł do kiosku. Do pięcia był tylko płynny owoc. Otworzył butelkę i wyszczył napój do dna. Odetchnął głęboko rześkim, porannym powietrzem. Poczuli się lepiej, ale tylko na chwilę. Na móż uderzyła nowa fala zaćmienia. Gdyby tak teraz jakaś kontrola lotna, dmuchanie w balonik... Wiedział, że to się zdarza bardzo rzadko, a już prawie nigdy kierowcom wozów PKS, toteż nie bał się odpowiedzialności z tej strony. Dreczyło go coś bardziej poważnego, coś, czego nie da się ująć w żadne przepisy, żadne paragrafy: odpowiedzialność przed własnym sumieniem. Istnieje przecież także prawo niepisane, którego strzeże bezlitosny sędzia, jakim jest własne sumienie.

Darasz popatrzył na drzwi poczty. Nie latwiejszego, jak wejść i zadzwonić do bazy po nowego kierowcę. A jednak coś go powstrzymywało od tego kroku, coś go pchało w kierunku czekającego na wozu. Trzeba mieć zważać niewłaściwe pokusy. Darasz widocznie nie należał do tych, którzy to potrafią, dał się ponieść lekkomyślności, która bez skrępułów omija prawo logiki. A prawo to nie pozwala się bezkarnie ignorować i mści się za lekceważenie jego zasad. Darasz pomyślał: Jakoś to będzie! Może akurat nie się nie stanie.

Na drgających nogach, z ociężałą,

zamroczoną głową, poszedł jak lunatyk w stronę szoferki. Szarpnął zatrzaśnięte drzwiczki. Stawiając na stopniu nogę, ujrzał po przeciwnej stronie wozu dwoje dzieci, chłopca i dziewczynkę. Schłodnie ubrane, czyste, oaskarmione, pulchne bobasy z pucutówatymi, uśmiechniętymi buziakami. Darasz wpatrzył się w nie jak wręczony. Takie jak moje — przeleciało mu przez myśl. Skąd się tu wzięły, przedem ich nie było. Tuż za nimi siedziała młoda, łana kobieta, to pewnie ich matka. Musieli wsiąść tutaj, na tym przystanku, Darasz, pijąc płynny owoc, nawet ich nie zauważył. Rzucił ukradkowe spojrzenie w głąb wozu. Zobaczył twarz spokojne, ufne, lecz pełne oczekiwania. Czekają na mnie, chcą jechać. I nie wiadomo skąd, przyszła mu nagle do głowy makabryczna myśl: Spiesz się im do śmierci. Wstrząsnął nim zimny dreszcz. Znieruchomiał i opuścił na moment głowę, jakby się wstydył patrzeć tym ludziom w oczy. Wtedy usłyszał radosny, dziecięcy głosik:

— O, zobacz, mamusiu, już przyjeżdż ten pan. To on nas zawiezie do tatusia, prawda?

Darasz unosił głowę. Kobieta uśmiechała się do niego z zażenowaniem, przepraszająco. Pomyślał, że trochę podobna do jego żony, z tym seracznym uśmiechem na twarzy. Przez moment starał się wymusić na swoich wargach oddźwięk tamtego uśmiechu, lecz gdy poczuł, że mu to nie wychodzi, zdjął ze stopnia nogę i z rozmachem zatrzasnął przed sobą drzwi szoferki. Zdecydowanym krokiem poszedł w kierunku poczty.

Polemiki ♦ Dyskusje ♦ Korespondencje ♦ Polemiki ♦ Dyskusje ♦ Korespondencje

Aleksander Błachowski

PAMIĄTKARSTWO
- NIEDOCENIONA DZIEDZINA KULTURY I GOSPODARKI

Artykuł Krystyny Świerczewskiej pt. „Góral z krzywym nosem, czyli rinać folklor” („Widnokrąg” nr 25) przyjąłem jako zaproszenie do dyskusji. Wydaje się bowiem, że najwyższa już pora, by dyskusje dotyczące problemów kulturalnych niedocenianych przez pisma centralne przenieść w teren. Po pierwsze w Polsce powiatowej pracuje już sporo specjalistów — historyków sztuki, artystów profesjonalnych i etnografów, których wypowiedzi mogą być w pełni kompe-

te, szcze pod względem technicznym i artystycznym lustro wykonane przez artystkę z dyplomem kosztowałyby trzy razy więcej.

Zgadzam się z Autorką ostrzegającą, by nie dopuścić do sprzedaży „eksponatów twórców nieudolnie naśladowujących to, co widzieli w sklepach warszawskich czy krakowskich...” Ale nie można zgodzić się z żądaniem, by z pamiętkarstwa wykluczyć wszystko, co nie jest „sztuką rzeczywiście ludową”. To jest żądanie nierealne i niepotrzebne.

klamra itp.), służący rozrywce (np. płyta z nagraniem melodii typowych dla danego regionu, gra dziecięcą treścią swoją związana z określonym terenem itp.), nadający się do wyposażenia wspólnego mieszkania (ceramika, obrazy, rzeźby, metaloplastyka, sztuka ludowa, reprodukcje lub kopie i miniatury dzieł sztuki itp.) oraz odpowiadający zainteresowaniom kolekcjonerów. Służąc określonym celom użytkowym lub zainteresowaniom pamiętkarstwa powinna informować o miejscowości czy regionie, a więc uczyć. Odpowiednio pomyślane pamiętki mogą spełnić ważną rolę wychowawczą. Asortyment pamiętek powinien uwzględniać różny wiek turystów i możliwości finansowe. Inne pamiętki należy przewidzieć dla dzieci i młodzieży, inne dla przeciętnych turystów, a jeszcze inne dla hobbystów o specjalnych zainteresowaniach. Wachlarz cen powinien zaczynać się od jednej złotówki, a sięgać może i ponad tysiąc złotych. Nie można jednak „uregionalniać” na siłę przedmiotów kosmopolitycznej galanterii przez dodanie herbu czy napisu nazwy miejscowości. Niestraszne są nawet długie serie rzeczywiście pięknych i oryginalnych pamiętek, straszne tylko mogą być same pamiętki, tzn. ich forma i bezsens.

Należy zatem ustalić wyraźne kryteria, którym muszą odpowiadać przedmioty mające stanowić pamiętkę.

Nasze województwo posiada bogaty potencjał uzdolnionych twórców, nie tylko ludowych, bo nie tylko sztuka ludowa wyróżnia poszczególne regiony Rzeszowskiego od reszty kraju. Mamy siarkę tak jak Wieliczka sól, mamy interesujące zabytki i pomniki przyrody, mamy miejsca historyczne, których popularyzacja spełnić może wielką rolę dydaktyczną i wychowawczą, poprzez odpowiednie pamiętki możemy upowszechniać idee ochrony przyrody i zabytków itd. itd. Zadaniem tego artykułu nie jest proponowanie konkretnych modeli pamiętek. Do tego powołani są artyści ludowi i plastycy, rzemieślnicy i ci wszyscy, którzy mogą produkować pamiętki. Chciałem tylko przez uporządkowanie podstawowych pojęć wskazać na potrzebę opracowania programu rozwoju pamiętkarstwa w naszym województwie w oparciu o rzetelną znajomość problematyki, a nie metodą dorywczych wysiłków ludzi dobrej woli otoczonych morzem obojętności, tak jak, np. zespół pracowników Muzeum Historycznego w Sanoku. Przecież sprawa pamiętkarstwa to nie sprawa muzealnictwa, lecz wydziałów kultury i handlu narodowych. Muzeum w Sanoku zrobiło rzecz bez precedensu, czując potrzebę życiową swego regionu rzuciło wezwanie odpowiednim czynnikom. To wezwanie nie może zostać bez echa. Niezbędne jest ustalenie przez zainteresowane instytucje pod kierownictwem władz wojewódzkich potrzeb i zobowiązań realizacji programu produkcji i sprzedaży pamiętek rzeszowskich. Czas wreszcie docenić rolę gospodarczą, kulturalną, a nawet polityczną - wychowawczą pamiętek traktowanych dotąd jak bibeloty i maskotki zaśmiecające mieszkania po każdej wycieczce.

P.S. Artykuł A. Błachowskiego publikujemy z pewnymi skrótami fragmentów, które nie dotyczyły problemów pamiętkarstwa.

W knajpach — przepraszam — w restauracjach wódka płynie litrowkami. Bierze górę nad rozsądkiem i kulturą życia codziennego. Niszczy zdrowie. Hamuje zapał i entuzjazm. Niweczy piękno i radość życia. Te prawdy powtarzamy w okół. Jesteśmy świadomi tego, co przynosi, albo co zwiastuje częste zagładanie do kieliszka. Ale dla otarcia łezki lub potoku łez, działając, jak gdyby w efekcie, uderzamy w dno butelki z piwną na ustach — „Co użyjem — to dla nas...” I racia. Ale czy to „użyje”, a właściwie wrzucenie serca i ducha z odbijającym się w żołądku „liryzmem”, którego, aby „pies nie lizał”, musimy stale wyzwałac za pomocą kieliszka?

Jakoś dziwnie utkwiała mi w pamięci piosenka ludowa, zaczynająca się taka oto strofa:

Dziwują się ludzie, że co lesiak pije — za las, za leszczyne, że debowe kiję.

I noszą się te słowa od lat. Stają się coraz bardziej aktualne. A ludzie nie tylko, że się „dziwują”, ale dyskutują. Skąd pijacy mają tyle zdrowia, by jednego „kaca” wypędzić z rozbolelej głowy, drugim.

Rozważamy więc przyczyny i skutki. Patrzymy zwykle na dany problem z perspektywy przeszłości, teraźniejszości i przyszłości. Najlepiej mówi się nam o kimś, kogo nie ma w danym momencie przy nas. Lecz gdy się zjawia, uśmiechamy się, przytakujemy, słodzimy danego osobnika niemal anielskimi słowami, niczym miodek.

I znów zaczyna się dyskusja uprawiana po to, aby imponować innym. Aby robić ze siebie psychologa, pedagoga — prawie że Salomona. Dyskusja, która trwa w pociągu lub przy

MIŁOŚCI i alkoholizmu. Wychowaniu młodzieży i o starości. O tu rystyce i pracy rolnika. Lotach kosmicznych i o roku dwutyścinnym. O kulturze i szkolach. Wypadkach na drogach i o modzie. O piosenkach i kremach do pielęgnacji cery. Lokalach zbiorowego żywienia i o chuliganach. O służbie zdrowia i kobietach pracujących. Współczesnej sztuce i o... dosyć, dosyć! Jednym słowem społeczność dyskutująca. W prasie i radiu. Telewizji i na wszelkiego typu zebraniach. Na przystanku autobusowym i w domu. Przy warsztacie pracy i w jednym głębszym z okazji imienin, urodzin, wesela — tudzież kupna lub sprzedaży motocykla, garnituru, krowy, konia... Rano, w południe i wieczór. W dzień powszedni i święteczny. Byłe mówić, wnioskować, opiniować... Czasami jest tak rozgorzała dyskusja, albo gadka, aby komuś wbić przysłówiową szpilę, poderwać do rekoncynny, rozluźnić hamulce moralne i intelektualne.

Pani jadąca pociągiem skarży się do współpodoźnej, że jej syn jest

Edward Zołowski

SPOŁECZNOŚĆ
DYSKUTUJĄCA

zbyt wyolbrzeszczony. Musi mieć wszystko, co mu się tylko zachce. Więc ojciec kupuje, bo dobrze zarabia. Moja droga — odpowiada druga — z synem to jeszcze można jakoś wytrzymać. Proszę sobie wyobrazić, że Zonia — to imię mojej córki — oszalała na punkcie tej mody min!

I trwa dyskusja — to o polityce światowej, to znowu o dzieciach. To o konfliktach międzyludzkich, najczęściej z za pociu lub tej samej klaski schodowej. Mniej lub bardziej rozsądnie, ale dyskutujemy. Byłe więc mówić. Byłe do tego lub innego tematu dorzucić swoje przysłowowe trzy grosze.

Przechodzimy ze sprawy na sprawę, z problemu na problem. Wnikamy do wnętrza zagadnienia. Często jesteśmy tuż, tuż przy istocie rzeczy, aż tu nagle ktoś dziwnie zaśmieje się, zakaszle i tym akcentem kończy się cała filozofia rozważanej sprawy.

Weźmy chociażby ten nieszczyśny alkoholizm. Mówiło się o nim tysiące razy. Tyle samo, a może nawet więcej wypisałiśmy artementu. Do dzisiaj ponawia się wszelkiego rodzaju apele, tudzież stosuje przeróżne środki profilaktyczne niczym w medycynie. Zresztą alkoholizm — to także choroba. I tym bardziej niebezpieczna — bo społeczna.

W knajpach — przepraszam — w restauracjach wódka płynie litrowkami. Bierze górę nad rozsądkiem i kulturą życia codziennego. Niszczy zdrowie. Hamuje zapał i entuzjazm. Niweczy piękno i radość życia. Te prawdy powtarzamy w okół. Jesteśmy świadomi tego, co przynosi, albo co zwiastuje częste zagładanie do kieliszka. Ale dla otarcia łezki lub potoku łez, działając, jak gdyby w efekcie, uderzamy w dno butelki z piwną na ustach — „Co użyjem — to dla nas...” I racia. Ale czy to „użyje”, a właściwie wrzucenie serca i ducha z odbijającym się w żołądku „liryzmem”, którego, aby „pies nie lizał”, musimy stale wyzwałac za pomocą kieliszka?

Jakoś dziwnie utkwiała mi w pamięci piosenka ludowa, zaczynająca się taka oto strofa:

Dziwują się ludzie, że co lesiak pije — za las, za leszczyne, że debowe kiję.

I noszą się te słowa od lat. Stają się coraz bardziej aktualne. A ludzie nie tylko, że się „dziwują”, ale dyskutują. Skąd pijacy mają tyle zdrowia, by jednego „kaca” wypędzić z rozbolelej głowy, drugim.

Rozważamy więc przyczyny i skutki. Patrzymy zwykle na dany problem z perspektywy przeszłości, teraźniejszości i przyszłości. Najlepiej mówi się nam o kimś, kogo nie ma w danym momencie przy nas. Lecz gdy się zjawia, uśmiechamy się, przytakujemy, słodzimy danego osobnika niemal anielskimi słowami, niczym miodek.

I znów zaczyna się dyskusja uprawiana po to, aby imponować innym. Aby robić ze siebie psychologa, pedagoga — prawie że Salomona. Dyskusja, która trwa w pociągu lub przy

kiosku z piwem, która nigdy nie była, nie jest i nie będzie celem, która nie trafia w meritum sprawy problemu czy zagadnienia, a jest tylko pustym gadaniem.

Chuligaństwo. Powiedziano o nim bardzo dużo. Stało się w naszych rozmowach, prawie że tematem numer jeden. I co z tego. Patrzenie i mówienie o chuligaństwie z piedestału kompetentnego urzędu czy reprezentowanego stanowiska, bez osobistego, a nawet prywatnego zaangażowania się w ten problem, uczuciem i troską o „blizniego swego”, a raczej młode pokolenie, nie odniesie skutku, określonego celu. Patrząc i mówić można bez końca. Załatwianie sprawy paragrafem bez szukania innych środków wychowawczych, które pozwolą uratować tego lub innego osobnika dla społeczeństwa, nie przyniesie ani teraz, ani w przyszłości niby wymierzonego pewnikami efektu pedagogicznego.

Dyskusje prowadźmy wreszcie do końca. Wynikające z niej wnioski, powinny przenikać społeczeństwo i zna-

leż ujście w pisaniu prawie i konkretnym życiu na co dzień.

Nie ustalimy nigdy reguł, jak być szczęśliwym w miłości. Nie znajdziemy recepty na piękną cerę, wskazując na najbardziej skuteczną krem. Nie określimy modelu rolnika roku dwutyścinnego. Ale jeżeli dyskutujemy na lamach prasy, w radiu czy w swoich czterech ścianach, na temat pierwszej czy ostatniej miłości, urody czy mody, kultury czy inteligencji, postawy społecznej lekarza czy naukowca, współzycia rodzinnego czy aktywności tej lub innej organizacji — to traktujemy te dyskusje jako jedną z licznych form kształcenia. A jeżeli te rozmowy prowadzone są na szerszym forum, niech posiadają więc wyźwięk społeczny, humanitarny, moralnie pozytywny i szczerze ludzki.

Powszechność dyskusji, która trwa i trwać będzie „dopóki my żyjemy”, tylko w atmosferze szczerości będzie bliska naszemu sercu na użytek wspólny.

POLONICA
KULTURALNEWIZYTA POLSKIEGO LITERATA
W NORWEGII

W Norwegii bawił przewodniczący komisji zagranicznej Związku Literatów Polskich — Antoni Olcha. Odbył on szereg spotkań z norweskimi pisarzami, krytykami literackimi i wydawcami. A. Olcha odwiedził także cmentarz żołnierzy polskich w Ankesne i Narwiku oraz muzeum wojskowe w Narwiku.

Ambasador PRL w Norwegii Mieczysław Łobodczyk wydał przyjęcie z okazji pobytu polskiego pisarza. Przybyli liczni przedstawiciele życia kulturalnego Norwegii z przewodniczącym Związku Pisarzy Norweskich — Odd Bang-Hansenem i prezesem norweskiego Penculbu — Hanssem Geelmuydenem.

RADZIEKIE CZASOPISMO
O POLSKIM JAZZIE

Wydawany przez KC Komsomółu magazyn ilustrowany „Smiena” zamieścił artykuł pt. „Dialog o jazzie”, w którym dużo miejsca poświęcono działalności Polskiej Federacji Jazzowej. Zdaniem autora tej publikacji na szczególne uznanie zasługują fakt posiadania przez PFJ własnego biura koncertowego.

„DNI CHOPINOWSKIE”
W DREZNIE

W październiku zorganizowane zostaną w Dreźnie „Dni Chopinowskie”. W imprezie, nad którą patronat objął przewodniczący Izby Ludowej NRD dr Johannes Dieckmann, zapowiedziano udział najwybitniejszego interpretatory dzieł naszego wielkiego kompozytora.



Wiejska izba pamiątek w Bliżnem.

Fot. M. KOPEC

temne; po drugie dyskusje merytoryczne oparte na znajomości ogólnych procesów kulturowych oraz specyfiki regionu prowadzone na lamach pisma terenowego spełniają mogą niebagatelną rolę dydaktyczną.

Niedocenie wielostronności znaczenia pamiętkarstwa oraz oportunistyczna bezradność tych, którym ta sprawa na sercu powinna leżeć dowodzą, że trzeba poważnie zabrać się do odrobienia zaniedbań.

Najpierw odpowiedźmy sobie na pytanie: dlaczego jest tak źle z praktyką w zakresie pamiętkarstwa? Odpowiedź: traktowane zawsze marginesowo było domeną kombinatorów, „złotych rączek”, ludzi „interesu prywatnego”, nawarstwilo się też mnóstwo błędnych teorii i poglądów, które wymagają sprostowania. Szarlataneria wyciera z dzieł „pamiętkarzy”, a „wycucie” zamiast wiedzy cechuje to, co się pisze o pamiętkarstwie.

Chociaż podzielam intencje wyżej wspomnianego artykułu K. Świerczewskiej, nie mogę zgodzić się z traktowaniem niektórych spraw przez Autorkę.

Autorka bowiem nazywa folklorem to, co folklorem nie było i nie jest. Autorka mówiąc o wystawie pamiętkarstwa, zorganizowanej przez Muzeum Historyczne w Sanoku (inicjatywa godna najwyższego uznania) stwierdza, że ekspozycję tam tylko prace twórców ludowych. Nieporozumienie! Spośród około dwudziestu autorów, czterech zasługują na miano ludowych (Wacek i Orłowska z Przysiębnicy, Milczanowski z Borowicy, Dżoń z Humnisk), pozostali to artyści niemal profesjonalni, rzemieślnicy i amatorzy plastycy. Zgadzam się z Autorką, co do krytyki pokazanej biżuterii, ale nie rozumiem burzenia na cenę bistra o ramach kowalskiej roboty. Nie lep-

Należy bowiem zdefiniować co to jest pamiętka turystyczna, komu i czemu ma służyć.

Pamiętka to przedmiot, który ze względu na formę, cechy użytkowe, surowiec, treść lub twórcę jest charakterystyczny wyłącznie dla określonej miejscowości lub regionu i uwzględnia jego niepowtarzalną specyfikę. A więc pamiętka turystyczna może być zarówno oryginalna twórczość ludowa, jak i prace rzemieślników czy plastyków zawodowych, pamiętka może być również produkt przemysłowy, typowy wyłącznie dla danej miejscowości czy regionu. W ogóle sprawa nie polega na tym, kto wykonuje pamiętkę, lecz czy spełnia ona swe zadania i warunki estetyczne.

Jakie wymogi powinna spełniać pamiętka?

Przed wszystkim powinien to być przedmiot mający sens użytkowy, konkretne zastosowanie praktyczne (np. torba, chustka,

Cóż o nim mówi Słownik Języka Polskiego pod redakcją prof. Doroszewskiego?

Folklor — (ang.) „twórczość ludowa obejmująca podania, legendy, baśnie, pieśni, muzykę, dzieła sztuki, z d o b n i c t w o” itp. (tom. IV, str. 923).

A cóż Mała Encyklopedia Powszechna PWN?

folklor (ang.) — „twórczość ludowa w zakresie literatury (baśnie, podania, pieśni, przysłowia), muzyki i tańca, sztuki i rzem i o s i, ubiorów;” strona 256.

Zacytowałam te dwie definicje przede wszystkim w odpowiedzi doc. Franciszkowi Kotuli (choć i A. Błachowskiemu też się zapewne przyda je znać), bowiem Doroszewski, jako wybitny znawca etymologii słowa, a Mała Encyklopedia, jako zbiór

SPÓR O FOLKLOR?

haseł opracowanych pod naczelną redakcją Bogdana Suchodolskiego, jeśli nie rzucają cienia na autorytatywność wypowiedzi moich dwu czytelników, to przynajmniej każą pamiętać o różnorodkiej o f i c j a l n e j i interpretacji tego pojęcia, do dziś istniejącej.

I to byłoby raczej wszystko, cze mu warto poświęcić nieco uwagi bowiem doc. Kotula pod resztą podpisywał się obiema rękami, a w końcu nie o etymologię słowa, lecz właśnie o tę resztę chodziło. A resztą była, że pozwolę sobie przypomnieć, walka z maskarona tym pamiętkarstwem oraz myśl o twarcia w Sanoku sklepu z pamiętką regionalną, która by pięk-

no naszych okolic, zamknięte w rezbce czy hafcie popularyzowała.

Błachowski, któremu też, zdaje mi się, o to samo idzie, co prawda obiema rękami się nie podpisuje pod moim artykułem (czego, chwalić Boga, ani się od niego żada, ani to konieczne dla sprawy) — w zamian jednak studiuję mój artykuł, niczym Traktat Wersalski — akapit po akapicie — za co, jako pilnemu Czytelnikowi, czuję się w obowiązku wyrazić mu na tym miejscu uznanie.

Ze przytulnia ono we mnie chęci polemiczne — to już do rzeczy nie należy. W jednym tylko nie mogę milczeć, kiedy widzę sporo wody na młyn toporności, która by pięk-

zainicjował mój protest przeciw drogiej brzydocie lustra wystawionego w sanockim muzeum.

Broniąc jego ceny takim głośnym przypuszczeniem, iż plastyk zawodowy za identyczną tandetę wzięby trzy razy więcej złotych — cóż mój Szanowny Dyskutant załatwia? Placet na rozrob w cenach? Oficjalny zysk dla nieudolności?

Obojętne bowiem, czy realizuje te koszmary magister ASP, czy też kował spod Sanoka; obaj wszak jednak pustoszą sakiwkie turysty na pseudopamiętkę i dla obu moje potępienie jest jednoznacznie pełne oburzenia. Nawet wbrew cudzej pobłażliwości oraz obronie „odjętej w imię celów, nazwijmy to — osobliwych.

KRISTYNA ŚWIERCZEWSKA

Nasz felieton

Opowiadał mi ktoś o weselnym przyjęciu dwójki młodych studentów, na którym była puszka groszku zielonego, słoik majonezu, kielbasa paryska, dwie butelki wina i około 20 weselnym gości. Rozrzewnił mnie. Pamiętam bowiem przed laty inny ślub w Urzędzie Stanu Cywilnego, gdzie ukradzione pół drzewa białego bzu przez świadka — przyjaciela i kuzynka konwali od pana młodego walczyły z zapachem świętych naleśników z kapustą i ciwiątką ratafi, do której zasiadły cztery osoby.

Znam też jeszcze inny — gdzie setka weselnym gości zastanawiała się nad kosztem przyjęcia: poiowa co najmniej twierdziła, że pięćdziesiąt tysięcy — minimaliści głosili, że za trzydzieści też można było to urządzić... Panna młoda wlokła po ziemi wtedy puszystą etolę z lisa, mimo kilkudziesięciostopniowego upału, jej babcia z rozrzewnieniem gaskała pana młodego, mówiąc: sprzedaj tę „zastawę”, bo Ani z niej nie będzie widać — dołożę na „peugeot”; pan młody usypiał nas gadką o swoich sukcesach lekarsko-finansowych w małym miasteczku, jego biedni rodzice najpierw pęczniali z dumy, później tata się spił i zrobił maciopi skandal, matka splakała, ciotki poobrażały, goście posmiiali...

A na stole pijał w knajpianej maładze indyk, pod ścianą zaś zwiędzieli mi się trzej chłopkowie, którzy czekali na kwadratowe jajo, ugwarzając z rzadka nad zasiewami bądź niemożnością zasiewów.

Ten ostatni pan młody wyszedł z bardzo biednego środowiska — dodajmy dla soczystości obrazu powody. Nie było na duty przed wojną, nie było chleba w czasie wojny; był za to dziadek, który miał barany i spał z ciwiątką pod pachą, przepijając ostatniego barana, równitko w ostatnią godzinę życia i była babcia, co parę z tych niezbyt intelektualnych zwierząt w ukryciu przed dziadkiem zdążyła spieniężyć. Po wojnie kupiono za nie najpierw drewniany barak, później nieco większą chałupinkę — co dalej nie wpłynęło co prawda korzystnie na stan obciążenia rodziny, ale wydało plon w postaci realnej własności. Własność powiększona kosztem

INDYK CZYLI KONSUMPCJA

higieny życia, chłopak skończył maturę z trudem, bo z trudem, ale skończył, poszedł na studia z trudem, bo z trudem, ale je sfinalizował dyplomem.

I od tego momentu liczy się obiedny tan wokół ziółkowi; nie największej może, ale uznawanej za cel jedynej, wyjątkowej, ostatecznej. Całkiem prawidłowo najpierw był „trabant”, później „zastawa”, na końcu babcia z farmą lisją i wnuczką, której maciopi samochódzik przycina drzewami nadzbyt obfite kształty...

A na stole pijał w knajpianej maładze indyk, pod ścianą zaś zwiędzieli mi się trzej chłopkowie etc, etc.

Czy to co osobliwego, zapyta ktoś? Nie. Naprawdę nie. Zupenie nie.

Konformizm puka nam do drzwi i co gorsza wcale się nań nie umiemy oburzać, więcej — udajemy, że nie rozpoznaliśmy starego znajomego, który jest równie historyczny jak Cezar i Kleopatra czy Aleksander Macedoński.

Inny młody człowiek inaczej rzecz widział. Wyszedł z domu ojca, gdzie bezustannie zastanawiano się czy Leśmian czy Czechowicz, czy Giotto czy Ociepka, czy Hobbes, czy Leibnitz, Młody człowiek zapamiętał nazwiska: obwiesił ściany giotkami, napisał rozprawkę o Leibnitzu, w międzyczasie jak danser po parkiecie przesiadnął się przez studia wielce humanistyczne, z łaski później pracował albo nie — zależało od natężenia re-

fleksji nad Leibnitzem, przespał się z paroma dziewczynkami za kolację, i zapomniał był w tym kieracie, co studiował. Jakoś po drodze zdarzyła się co prawda niewygodna żona i jeszcze mniej wygodne dzieci, ale traktował je jako margines do Leibniza, bowiem wyznawał starą kartezjańską zasadę: myślę, więc jestem.

Był i to jak jeszcze był: jako ciężar niepoprawnie zauroczonego tym gigantycznym intelektem otoczenia, jego nierzeczywisty kochanek — re-produktor dla żony, która z mniejszym entuzjazmem co prawda, ale rozglądała się za następcą, jako tata — mit, jako filozof — kwadratowe jajo — mit.

Indyka przypominał jeno z potężnie zbudowanego karku, który czerwienił, gdy strząsał ordynaryjnych współziomków trafiając czasem w purpurę korali...

Ile razy go widzę — pod ścianą siedzą mi trzej chłopkowie, etc., etc...

Inny osadził się w ciszy. Wokół zabobnego domku stały modrzewie, kucharka gotowała za leczenie ziółkami, sprzątaczką — za przepuklinę, którą po mistrzowsku podwiązał, kury chowały wdzięczni pacjenci, świnię — mniej wdzięczni, ale pozostający w leczeniu. Wiewprza nikt nie chował, bo to zwierzę o niezbyt eleganckiej nazwie. Nowa „warszawa” posypywała wśród zamglonych łak, kiedy zwiędział teren, kończyły pachniały, zuki wylegiwały na piaszczystą drogę i było jak w Szymonowicowej sielance: słonecznie, bezpiecznie oraz pracowicie.

Przeszłość zaś była z tragedii: walki, rany, twarży zagłówek, zamęczona rodzina, utrudniony dostęp do wiedzy, znowu walki, ideały, marzenia o samotni.

Dziś spod nóg wystrzela kaczka, która za chwilę rozzerwie śrut, panie dentystyce kupuje się dederonowe halki, biednych chłopków nieco się ruga, bo śmierdzą w przedpokoju nowego dworku z modrzewiem za oknem. Pielęgnowanie przeszłości i tan wokół wygodny, wokół spokojnej kromki chleba. Oraz znowu: niech na świecie wojna, byle polska wieś spokojna.

Poszły w kąt rozprawy, ambicje, nadążanie za nauką; został smak indyka w maładze, szukanie kwadratowego jaja, płasch gniazd.

I dlatego widzę pod ścianą trzech chłopków, etc., etc...

Widzę pod ścianą tych trzech chłopków, których rodowód trzeba wyjaśnić. Siedzieli sobie identycznie w sztuce Mroźka, stały przed nimi trzy półkwały, odzywali się z rzadką i wtedy gwarzyli o zasiewach. A kiedy już gwarzyli, to mniej więcej tak:

— A możebyśmy coś zasiali — powiedział jeden.

— Ili — a po co? — parował natychmiast drugi.

Po tym kategorycznie nicóż stwierdzającym odzewie, zapadali w następną spracowaną drzemkę i trwali tak, po piastowsku przystrzyżeni, bardzo z polską wyglądającą, do następnej propozycji równie kategorycznie poddawanej w wątpliwość. Wokół hucał ul spraw romantyczno-polskich, gdzie też wiele się chciało, a niewiele robiono, bądź mogło, a po grządkach wolterowskiego ogródka czałpal indyk z dumnie wypiętą pierśią i bacznie oglądany przez współczesnych od tyłu, zaczynał niespokojnie przeczuwać, że ino kwadratowa jaja uratuje go przed konsumpcją.

KRYSTYNA ŚWIERCZEWSKA



Artiom Wiesioły: ROSJA WE KRWI SKAPANA. Przel. i wstęp I. Szenfeld. MON, s. 534, cena 38 zł.

Zaczynają się już coraz częściej pokazywać na rynku księgarskim pozycje dla uświetnienia obchodów 50 rocznicy Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej. Jedną z nich jest właśnie utwór Wiesiołego, uczestnika tych wydarzeń. W tej wieloplanowej epopei o Rewolucji autor nie bał się pokazać najbardziej drastycznych epizodów, wlecząc niezachwianie w słuszność idei i w jej nieodwołalne zwycięstwo.

Jan Dąb-Kociol: MOJE ŻYCIE, PRACA I MYŚLI. KiW, s. 307, cena 25 zł. „Spisałem te wspomnienia w tym celu, aby wykazać ogrom przemian, jakie się u nas dokonały w ciągu jednego pokolenia, oraz dlatego, aby wykazać, jak te przemiany następowały i z jakimi trudnościami tworzyło się to nowe życie...” napisał w słowie wstępnym znany działacz ludowy.

Mikołaj Kunicki: PAMIĘTNIK „MUCHY”. Wyd. II. KiW, s. 379, cena 25 zł. Bogata jest literatura partyzancka głównie we wspomnienia. Szczególnie wiele pozycji wiąże się z Wołyniem, na którym rozgrywa się również akcja ośmianych pamiętników. Dla nas ważny jest fakt, że oddział „Muchy” walczył i na terenie naszego województwa, o czym też traktuje utwór.

Lion Feuchtwanger: LISY W WINNICY. PIW, t. I/II. Cena obu tomów razem 70 zł. ładna płócienna oprawa. Wyd. III. Powieść historyczna znakomitego pi-



Niewiele zaiste jest programów, które by z równą pasją tropiły nasze kłopoty codzienne jak to czynią „Próby” — czyli miesięcznik konsumpcyjny. Nie ma w nich tego, co w publicystyce telewizyjnej najbardziej denerwuje — owej poprawnej gładkości, która przykrywa pustkę, wyłamany problem bądź nieistotne zagadnienie. „Próby” sięgają po życie, po zwykłe sprawy, dodajmy, ale ważne sprawy, które to życie czynią uciążliwym, które stają na ukos wszelkim udogodnieniom, jakie należą się człowiekowi. „Próby” z nimi walczą. Nie efekciarsko, ale autentycznie. Nie ma w nich bowiem błyskotliwych komentarzy, ale konfrontacje z poszkodowanymi, gorące relacje ludzkich protestów przeciw nonsensom naszej gospodarki. Jest poza tym przemysłowa koncepcja samego programu i odpowiednio dobrany, obfity materiał filmowy. Ostatnie przed wakacjami, a trzydzieste z kolei, co w końcu jest moim jubileuszem godnym odnotowania — ruszyły sprawy targowisk miejskich i przyniosły taką mnogość protestów i takie zaangażowanie ludzkie, że aniśmy się spodziewali, kiedy w rozmowach późniejszych zaczęła się analiza tej łódzkiej sytuacji w konfrontacji z naszą rzeczowską. Bo problem istnieje w całej Polsce, bo gdzie-niegdzie próbuje mu się nadać jakąś nową i zorganizowaną formę, ale jest tych miast, które poraziły sobie z popularnymi zieleniakami sensownie, nader mało. Udowadniać, że każdy z nas zjada dziennie pęczek marchewki i dwie cebulki — byłoby co najmniej niepoważne; jakże jednak nazwać utrudnianie w nabywaniu tychże? Jak nie gromić za „Próbami” tych architektów, którzy zbytnio estetyzując, wyrzucają targowiska z obrębu śródmieścia na peryferie bądź w ogóle nie raczą dostarczyć miejsc na nie koniecznych? Wystarczy przejść w sobotnie popołudnie po sklepach z warzywami naszego miasta, kupić z trudem parę rozkładanych pomidorów, wyjechać na niedzielną wycieczkę bez odrobiny owoców, praktycznie w so-

boty nie do nabycia, a sprawa uregulowania targowisk zielonych, ich zwiększenia, ich prawidłowego rozmieszczenia staje się podstawową sprawą racjonalnego handlu. Bowiem dostrzega się tu wielką przewrotność współczesności, która lansując owoc i jarzynę, jednocześnie proponuje nam te produkty tak niezachęcająco i w skąpych racjach po sklepach państwowych. I nawet nie trzeba być kobietą, by sycić oko pięknym świeżutkim jarzynom na straganach jedynego targowiska rzeczowskiego i by zawołać za realizatorami „Prób” — więcej targowisk panowie architektów i handlowcy; niech na ulicach naszych miast będzie kolorowo, słonecznie i jarzynowo.

Drugim program, który też wtargnął w moje słoneczne dziedzińce zjawia zaprezentowała krakowska TV, a opracował go Adam Teneta. I choć już nie o jarzynom, to jednak o zdrowiu i o tych, którzy to zdrowie nam konserwują — czyli o lekarzach i przyrodnikach rejonowych. Oanotowuję i ten program pod kątem jego ogólnopolskiej wymowy, co znowu poruszy sprawy, które psują nam swoją nie najlepszą organizacją system nerwowy. Bo znowu był on podany, wzorem „Prób” w sposób rzeczowy, bez piękności — za to z bogatym materiałem faktycznym i cnącąż szukania realnych oraz koniecznych ulepszeń w lecznictwie otwartym.

I trzeci program wreszcie — tym razem cykliczny — na który cnąc zwrotić Waszą uwagę, to znakomite realizowane Telejerje. Tak się to już dzieje, że najniższe uwagi zwykłym posuwając programom reakcji dziecięcej, choć w istocie są one przygotowywane najstaranniej i z największą pomysłowością. Po cichu mówiąc, to wszyscy zastanawiamy się do Robin Hooda, wykorzystując pozniej na naiwności i aliczącą moralistykę; czy wszyscy jednak słuchamy rad pana Stoiwego? A robi to on z niesabnącą od lat pomysłowością i wielką prostotą, wspomaganą osobistym wrokiem. I tak jak próbujemy zagonić Ludwika do ronda, dobrze byłoby zaprezentować pana Stoiwego niewydarzonemu tatusiom, co to ani gwóźdź w ścianę, ani walciki zreperować nie potrafią. Zawstydzają się może i skorzystają z efektów superprostych racjonalizacji w usuwaniu usterek. Tym bardziej że wylądowane z dzieci mieszkania sprzyjają wszelkim eksperymentom gospodarskim.

O reszcie w tym tygodniu, niestety, nie doborę powiedzieć się nie da — jeanak ogorki zwyciężają! Nudno, nijako, oez rozrywki. Bo jakże nią nazwać turniej miast w zakresie kabaretu literackiego, skoro był tak bardzo woźuchny, że ani Cnyla, ani Fedorowicz, ani Rudzki, ani zawsze aże z Wagaunday: Wysocka i Koterbska go nie uratowały? Cóż o „Człowieku z bielizną” mówić? O „Pocztówce z Buenos Aires”? Widzi mi się, że i tak wszyscy ogląną, choćby nie wiem jak cniecia obryzdać...

Wszystko, co dobre natomiast, zdaje nam się kończyć, jak cnochy znakomity prof. Tutka, który w mikroskopijnych dawkach i z wielkimi przerwami w czasie dobiegi finału w ostatnią niedzielę. Piszę o tym ze smutkiem, bo ten system rozpowszechniania nie mógł zdać egzaminu w odniesieniu do smacznej prozy Szaniawskiego; piszę i z nadzieją, że może telewizja wpadnie na dobry koncept i zrobi nam pięć dni jakiegoś ogórkowego tygodnia, z kwadransem Szaniawskiego každy? Co i napisawszy, lece oglądać zastępczo „Alcatraz express”, bo goręco...

KRYSTYNA

Książki Ludowej Spółdzielni Wydawniczej

Doroczne walne zgromadzenie członków Ludowej Spółdzielni Wydawniczej, które przed kilku dniami odbyło się w Warszawie, stało się okazją do podsumowania dorobku wydawniczego wydawnictwa w roku ubiegłym. Był to jednocześnie dla LSW rok jubileuszowy — minęło bowiem 20 lat działalności Wydawnictwa.

W ciągu tego czasu LSW wydała ok. 1580 pozycji w łącznym nakładzie 23 700 tys. egz. Obok literatury pięknej i popularnonaukowej, ukazało się wiele cennych pamiętników, materiałów i opracowań z dziejów ruchu ludowego w Polsce.

Z wydanych w 1966 r. książek historycznych uwagę zwróciły także pozycje, jak „Partie i organizacje chłopów w Europie kapitalistycznej” Orlewicza, „Nad Wartą ludową straż” Stanisława Zbierskiego, „Wizje społeczne i zmagania wiczarzy” Jana Borkowskiego, „Powstanie PSL Piast” Garlickiego, „Bez rozkazu” W. Gołębka (Boryny), „Stronictwo Ludowe 1944—1946” Halaba. Poważnym wkładem do badań dziejów ruchu ludowego było wydanie 4-tomowych „Materiałów źródłowych do historii polskiego ruchu ludowego, opracowanych przez Zakład Historii Ruchu Ludowego przy NK ZSL.

W roku ubiegłym ukazał się też kolejny, trzeci tom wielotomowej edycji „Pamiętniki młodzieży wiejskiej” — „W poszukiwaniu drogi”.

W dziale literatury pięknej osiągnięciem było wydanie książki Jerzego

Jędrzejewicza „Noce ukraińskie”, poświęconej życiu i twórczości Tarasa Szewczenki oraz książki Edwarda Kozłowskiego „Portret Zegadłowicza bez ram”.

Ze współczesnej literatury polskiej zainteresowanie krytyki i czytelników wzbudziły także książki, jak „Osty” Jana Marii Gigsesa, „Z podglebia” Stanisława Czernika, „Marsz weselny” Juliana Kawalca, „Sen o brzoźowych buckach” Jerzego Szczygła, „Drzwi do lasu” Haliny Snopkiewicz, „Wiadro pełne nieba” Marii Sypowskiej (nagroda literacka CRZZ) oraz opowiadanie Adolfa Momota „Tyle słoneczka” (nagroda imienia Stanisława Piętaka).

Również w dziale literatury młodzieżowej PSW notuje osiągnięcia, do których m. in. przyczyniły się „Saga o niedźwiedziu” Tytusa Karpowicza, powieści Krystyny Siesickiej „Zapałka na zakręcie i „Jezioro osobliwości”, „Syn Heraklesa” Haliny Rudnickiej, „Mickiewicz na wschodzie” Lesława Bartelskiego.

W tym roku LSW wydała tomiki nowej serii „Biblioteka Poetów XX wieku” — „Poezje wybrane” Władysława Broniewskiego i „Poezje wybrane” Juliana Przybosa, „Zapomniane ognie” Jana Zygmunta Jakubowskiego — o Adolfe Dygasińskim. Z literatury popularnonaukowej ukazały się: „Wyspy fizyki” Wilhelma Dichtera i Jacka Kunickiego, a z literatury społeczno-politycznej — relacje z walczącego Wietnamu Moniki Warnęskiej pt. „Front w dzungli”.



By zaprezentować znamenu przysłowiu „Cudze chwalecie — swego nie znacie” prezentujemy więc kilka ludowo — stylizowanych propozycji.

Na zdjęciu: oto „CEPELIA” nie tyle OD, co DO kuchni...

CAF — Fot. SOKOŁOWSKI

Kronika filmowa

NOWE FILMY TELEWIZYJNE W REALIZACJI

6 odcinków „Stawki większej niż życie”, „Hrabina Cosel”, nowelistyka światowa

Niedawno poważny sukces odniósł film telewizyjny Janusza Majewskiego „Czarna suknia” na Międzynarodowym Festiwalu w Pradze. Polski film realizowany dla TV jest coraz częściej gościem na ekranach naszych telewizorów. Niektóre z dotychczas nakręconych pozycji cieszyły się ogromnym powodzeniem, że przypominamy serię „Cztery pancerni i pies” w reżyserii Konrada Nałęczkiego, a film Jerzego Hoffmana „Ojciec” reprezentować będzie polskie barwy w konkursie filmów dla młodzieży na Międzynarodowym Festiwalu Filmowym w Moskwie.

Jeśli idzie o scenariusze, to sytuacja w filmie telewizyjnym przedstawia się znacznie korzystniej niż w filmie fabularnym przeznaczonym dla kin, gdzie niemal stale odczuwa się brak interesujących propozycji. Kierownicy zespołów dysponują nawet pewną rezerwą scenarzystów filmów telewizyjnych. Na zwiększenie produkcji nie pozwala jednak zaplecze techniczne: nasze wytwórnie wykorzystywane są w pełni i zwiększenie liczby filmów telewizyjnych mogłoby nastąpić tylko kosztem pozycji dla kin.

W tym roku zespoły filmowe realizują ponad 20 telewizyjnych pozycji fabularnych — godzinnych i półgodzinnych. Liczni miłośnicy sensacyjnej serii z kpt. Klosem z niecierpliwością oczekują powrotu tego sympatycznego bohatera. W wytwórni łódzkiej ukończono zdjęcia atelierowe do ekranizacji „Stawki większej niż życie” i obecnie filmowane są plenery na Mazurach. Andrzej Konic reżyseruje odcinki „Edyty”, „Obleżenia” i „Ostatniej szansy”, a Janusz Morgenstern — „Wiem kim jeste”, „Wielkiej wyspy” i „Spotkanie na zamku”. W głównej roli wystąpi Stanisław Mikulski a jego partnerami będą m. in. Aleksandra Zawieruska, Irena Szczerowska, Ewa Wiśniewska, Emil Karewicz, Stanisław Zaczek.

Z filmów znajdujących się w produkcji bądź wchodzących w najbliższym czasie do hal zdjęciowych, warto zasymalizować „Hrabinę Cosel” według Kraszewskiego z Jadwigą Barańską w roli tytułowej i Mariuszem Dmochowskim, odtwarzającym postać Augusta Mocnego. Będą to trzy godzinne odcinki, przy czym twórcą filmu reż. Jerzy Antczak przygotowuje jednocześnie dla kin wersję kolorową i szerokoekranową. W serii „Polska nowela fantastyczna” J. Majewski dokonał adaptacji opowiadania Henryka Rzewuskiego „Ja gorę”, a Andrzej Zakrzewski — „Szach i mat” Ludwika Niemojewskiego. Jan Łomnicki reżyserować ma film z życia współczesnej młodzieży „Cyrograf dojrzałości” wg scenariusza Jerzego Krzysztonia, Jan Rybkowski — „Bardzo starzy oboje” (scenariusz Kazimierza Brandysa i Jerzego Markuszewskiego, a Ewa i Czesław Petelscy utwor sensacyjno-kryminalny pt. „Cześć kapitanie”).

Chociaż telewizja kolorowa w Polsce jest jeszcze sprawą dość odległą przyszłości, nakręcana jest seria filmów kolorowych, głównie z myślą o zagranicznym odbiorcy. Filmy te, oczywiście, zobaczymy również w programie polskiej TV. Scenariusze serii oparto na nowelistyce światowej. I tak Stanisław Lenartowicz realizuje cztery filmy osnute na utworach klasyki rosyjskiej: „Zabijaka” Turgieniewa, „Fatałista” Lermontowa, „Upiór” Al. K. Tołstoja i „Poczmistrz” Puszkina. Trzy filmy nakręci Witold Lesiewicz: „Przeraziłwie łóżko” wg Williama Collinsa, „Zbrodnia lorda Artura Saville” wg Oskara Wilde’a i „Klub sachistów” wg Aleksandra Świętochowskiego; również trzy biorą na warsztat małżonkowie Petelscy: „Kwestia sumienia” wg Ambrosa Bierce’a, „Tortura nadziei” wg L’Isle Adama i „Duch z Canterville” Oskara Wilde’a. Reż. Andrzej Żuławski przeniesie na ekran „Pieśń triumfującą miłości” Turgieniewa i „Pavoncelle” Zeromskiego, Jerzy Zarzycki „Człowieka, który zdemoralizował Hadleyburg” Twaina, „Komedie z pomyłek” wg Sienkiewicza i „Zmartwychwstanie Offlanda” wg Dumasa-syna, Stanisław Jędrzyka — „Katarzynka” Prusa, a Stanisław Różewicz — „Męza pod łóżkiem” wg Dostojewskiego.

W filmach tych wystąpią znani aktorzy — Jadwiga Chojnacka, Justyna Krecmarowa, Maria Ciesielska, Aleksandra Zawieruska, Kazimierz Opaliński, Jan Krecmar,

Jan Machulski, Andrzej Łapicki, Bronisław Pawlik, Wiesław Gołas i in.

BULGARSKO-WŁOSKA KOPRODUKCJA FILMOWA

Kinematografia bułgarska i producent włoski Dino de Laurentis podpisali umowę na wspólną realizację 3 filmów. Jeszcze w br. zostanie nakręcona w Bułgarii część filmu „Bandyta” wg powieści znanego pisarza włoskiego Giovanni Vergi. Scenariusz napisał Ugo Piro, reżyserować będzie Carlo Lizzani. Treścią filmu jest zagarnięcie ziemi ubogich chłopów przez wielkich właścicieli ziemskich.

Drugim filmem będzie panoramiczny, kolorowy obraz o chanie Asparuchu wg scenariusza dwóch pisarzy bułgarskich Antona Donczewa i Stefana Diczewa.

Wytwórnia bułgarska uczestniczyć też będzie w realizacji panoramicznego kolorowego filmu „Waterloo”. Reżyserem będzie John Huston, w roli Napoleona wystąpi Richard Burton, a Wellingtona — Peter O’Toole.

PETER SELLERS W FILMIE HINDUSKIM

Peter Sellers grać będzie główną rolę w filmie hinduskim „The alien”, którego realizacja rozpocznie się wkrótce w Bengalu. Reżyserować będzie znany twórca hinduski Satyajit Ray.

KIM NOVAK I PETER FINCH W JEDNYM FILMIE

Kim Novak i Peter Finch występują razem w filmie pt. „Dzieje Lilah Claire”, reżyserii Roberta Aldricha. Jest to film psychologiczny, którego akcja rozgrywa się w środowisku filmowców. W filmie udział bierze też młoda aktorka włoska Rossella Falk, którą już obecnie prasa nazywa drugą Gretę Garbo.

BURT LANCASTER W ROLI JEANA VALJEANA

Burt Lancaster grać będzie rolę Jeana Valjeana w nowej wersji filmowej „Nędzników” wg powieści Victora Hugo. Realizację filmu rozpocznie wkrótce reżyser Jean Delanoy.

Kalman Segal

Odkrycie świata

Życie — wielka równina w powodzi słońca. Ośniony ożywczym światłem spływającym z pogodnego nieba, przymrużyłem oczy. Pachniało kminkiem, polnymi ziołami i suchym sianem. Tuż nade mną skowronek wypiewywał swoje trele. Skurcz szczęścia chwycił mnie za serce, za gardło. Krajobraz — granatowy grzbiet lasu, niżej pola złociste, dojrzewające do żniw i łąki, na których kosiarze wyglądali z daleka, jak krasnoludki. Topole na miedzach, wierzby i lipy na skraju drogi. Na zakręcie między śmigłami smukła postać dziewczyny. Jej śmiech oddalał się szybko, aż zamarł, tonąc w dźwiękach koncertu pełnych świerszczy, skowronków i — pastuchów. Stałem milczący, oszołomiony odkryciem — piękny, kochany świat. Odwróciłem się skąd przyszedłem — równe pszeniczne pole, złote, falujące w powiewach leciutkiego wiatru. Uśmiechnąłem się i ruszyłem naprzód — rześki i młody, pełen ufności i nadziei.

Staroświecka miłość

Snął mu się w sposób staroświecki: jasne pukle włosów, policzki smagłe, usta w uśmiechu. Przeczuwa kształt jej piersi i gładkość ramion, a z ciszy nocnych godzin wylawia poezję jej słów i nieznaną dźwięk jej głosu.

A gdy zaczyna pisać liryczny list: „Widziałem Cię we śnie, o piękna Nieznajoma...” — wówczas jego dusza staroświecka unosi się ponad dachy domów i ku białym chmurkom ulata, hen pod niebiosami co rozpościerają się nad ciemnym borem.

A ona — piękna Nieznajoma wie, iż kocha ją młodzieniec siwowłosy i pełen sentymentu. Ach, ona również marzy o tym pięknym dniu, o pięknym zmierzchu, gdy on odważy się ująć ją za rękę i poprowadzić tam, gdzie gwiazdy będą im przyświecać, a kelner skrzydlaty w niebieskim fraku poda im filiżankę wonnej czarnej kawy i ciasteczka z kremem.

Więc tak codziennie marzą i co dzień szukają się wzajemnie, szukają bezskutecznie, chodzą bowiem różnymi drogami i mijają się, mijają...

CO WIATR NIESIE Zlizywanie kremu

Może kupić sobie opolską płytę i puszczać ją parę razy dziennie, żeby coś z tego wszystkiego zrozumieć. Że oto czas dąsów i manier minął. Że wszystko może być nowocześnie i zrozumiale. Że może być dobra sztuka i popularność, wzięcie, entuzjazm — pisze Jan



STANISŁAW DZIEDZIC — działacz kulturalny.

Rys. J. SIENKIEWICZ

Polska scenografia za granicą

Na Międzynarodowym Quadriennale Scenografii, które odbędzie się we wrześniu br. w Pradze (impreza organizowana co dwa lata na przemian w Sao Paulo i stolicy CSRS), eksponowane zostaną prace ok. 30 scenografów polskich. Każdy z artystów zaprezentuje pełny zestaw prac scenograficznych dotyczących jednej z wystawianych w jego sprawie plastycznej sztuki.

Na tegorocznym Biennale Młodych w Paryżu zostaną przedstawione, w dziale scenografii, prace dwóch artystów plastyków polskich: Aliana Rzepki i Krzysztofa Wejmiana.

Zdarzenia tygodnia

W ramach wymiany przygranicznej gościmy w naszym województwie od 13 lipca 13-osobową grupę działaczy kulturalnych ze Słowacji. Jest wśród nich kierownik wojewódzkiego ośrodka instruktoryjno-metodycznego w Koszycach, dyrektor Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej, inspektorzy do spraw kultury, kierownicy zakładowych domów kultury. Goście zwiedzą wojewódzkie miasto, Tarnobrzeg, Mielec, Baranów Sandomierski, Łańcut i Krosno. Spotkali się również z kierownikami rzeszowskich placówek kulturalnych.

W lipcu jeszcze, grupa naszych działaczy kulturalnych pojedzie na Słowację z rewizytą.

10 lipca przybył na gościnne występy do naszego województwa zespół estradowy z Gdańska, który zaprezentował publiczności Jasła, Solny, Ustrzyk, Mielca, Sanoka, Sarzyny, Debicy, Rzeszowa, Krosna, Gorlic, Stalowej Woli, Łańcuta, Lubaczowa i Przemysła — atrakcyjny program pt. „Popierajmy się”.

Występują w nim Jacek Fedorowicz, Bogdan Łazuka i Piotr Szczepaniak z zespołem muzycznym Andrzeja Nowaka.

Za program „Popierajmy się” zespół zdobył na IV Ogólnopolskim Festiwalu Zespołów Estradowych w Olsztynie nagrodę „Srebrnego Kormorana”.

Od 11 lipca w Domu Sztuki w Rzeszowie czynna jest wystawa prac współczesnych malarzy polskich. Ekspozycja prezentuje między innymi prace Jana Wodyńskiego — profesora warszawskiej ASP, Ignacego Witza, niezjącego Eu-stachego Wasilkowskiego, Czesława Rze-pińskiego, Hanny Rudzkiej-Cybilskiej.

ANECDOTY

PIĘKNOŚĆ KOBIECA WEDŁUG GUSTÓW ARABSKICH

Według gustów wschodnich warunkiem piękna kobiecego musi być... ciężka waga, w granicach mniej więcej 100kg! Idealni urody niewieściej w oczach Araba od czasów średniowiecza nie ulegli zmianom i nadal odpowiada „przepisowi” poety, który najpiękniejszą dziewczynę swego szczepu słał następująco: „...broda jak piłka w półmisku, policzki jak miękkie masło kozie, krok słońca, a biodra tak ciężkie, że ledwie ruszać się mogła”. Kiedyś pewien szejk z Transjordanii spytany, jak mu się podobała Polki odparł, że „nie nadzwyczajnie, gdyż dla mężczyzny nie

reprezentują żadnej tajemnicy — można u nich wszystko oglądać... nawet kości”. Historyjkę tę dedykujemy na pociechę tym z Czytelniczek, którym nie pomogła żadna „dieta-cud”...

RIPOSTA

Podczas posiedzenia Izby Gmin w r. 1942, w którym uczestniczył Winston Churchill jeden z deputowanych szepnął do sąsiada:

— Mówią, że Churchill jest już za stary do udziału w pracach rządu... — Owszem — rzekł na to Winston, zwracając się w ich stronę. — Mówią również, że jest głuchy!

(wybrał z.w.)



Dom Sztuki w Rzeszowie.

Fot. M. KOPEĆ

we mnie coraz silniejszy niesmak, sprzeciw, bezsilną wściekłość...

Płyta jest przykładem jak pięknie można nabić w butelkę ludzi dobrej woli i pod firmą festiwalu zrobić jeszcze jeden interesik (vide Hamilton w tymże numerze „Kulturzy”). Nie zawiera ona bowiem ani jednej nagrodzonej piosenki (werdykt jury przyjęty był z pełną aprobatą) i z całego zestawu 2 utworów mogą prezentować imprezę opolską: „Zielone liście drzew” (Prejzner — Młynarski) w wykonaniu Fryderyki Elkany i „Zapomniałam” (E. i U. Sipińskich) do słów Inki Korniszewskiej), którą śpiewała Urszula Sipińska. Dla nas specjalny smaczek, będzie jeszcze miała

piosenka Pallasza i Terlikowskiej „Serce na temblaku”, bo tę prezentowała rzeszowianka Anna Zebrowska.

A dalsze 11 piosenek, nie mówiąc już o słałości technicznej nagrania? Dowód: „że czas dąsów” minął i nastąpiła idylla... finansowa.

Popularyzować dobre piosenki na płycie, gdy to co dzień robi radio? Innym też „dola” się należy z opolskich targów! Tylko dlaczego tyśiąc nabywców płyt (80 złotych polskich każda) ze złudnym napisem „Opole 67” ma być fundatorami dodatkowych porcji kremu i o jeszcze w imię nowoczesności i dobrej sztuki — jak chce Szeląg — nie rozumie. Gama